

SWIAT

CENA 1 ZŁ.

Nr. 40. 5. X. 1935

W numerze dzisiejszym
rozpoczynamy druk
niezwykle ciekawej
i oryginalnej powieści

„ŻYCIE W KOLORACH“

WITOLDA BUNIKIEWICZA

w n u m e r z e:

**Konflikt abisyński
a Europa**

Korespondencje:
z Nordcapu i Genewy
Konkursy hippiczne
Moda. Teatr. Muzyka.
**Liczne karykatury
i ilustracje**

**DWAJ RÓWIEŚNICY –
RASOWY ŻREBAK
I POTULNY OSIOŁEK**



ŁÓDZKO-WARSZAWSKIE TOW. TRANSPORTOWE

WARSZAWA

ul. Sienna 94, tel. 5.92-80 i 605-92

ŁÓDŹ,

ul. Dowborczyków 9, tel. 206-90

Codzienny przewóz towarów samochodami do Łodzi i z Łodzi.

Zwózka towarów i przewóz maszyn taborem konnym.

Przeprowadzki, ekspedycja kolejowa, magazynowanie towarów i mebli.

**Dwa bilety darmo do Opery
otrzyma**

**100 pierwszych
prenumeratorów „Świata”**

Prenumerata bezpośrednia

S Z P I T A L N A 12

Konto P. K. O. Nr. 3755

którzy do 10-go października
wniosą prenumeratę kwartalną.

**Miejsca wyznaczone
przez Redakcję
a nabyte jako premjum dla na-
szych prenumeratorów są to do-
skonale miejsca parterowe.**

Prenumeratorzy zamiejscowi po po-
rozumieniu się z Administracją mogą
mieć przysługujące im bilety zare-
zerwowane na dzień ich pobytu
w Warszawie (z wyjątkiem niedziel,
świąt i premier).

TO PRZESĄD,

że można dotrzeć do klientów prowincjonalnej
nie ogłaszając się w dziennikach lokalnych.

PROWINCJA

posiada szereg wydawnictw, które łącząc wia-
domości ogólne z lokalnymi — stają się nieo-
dzowną lekturą dla mieszkańców prowincji.

Taklem wydawnictwem jest

**„EXPRESS LUBELSKI
I WOŁYŃSKI”**

wielki, ilustrowany dziennik wychodzący w
Lublinie od lat 13-tu.

NAJWYŻSZY NAKŁAD na terenie Woje-
wództw: Lubelskiego i Wołyńskiego.

Bliższe informacje, eg. emplatze okazowe, pro-
spekty, kosztorysy ogłoszeń, wykazy i referen-
cje dotychczasowych klientów, odwiedźmy
akwizytorów — na każde żądanie.

Adres wydawnictwa:

Lublin, Kościuszki 8, tel. 23-60.

Informacje w Warszawie
przez telefon 9-28-82.

**PRZY ZABURZENIACH W TRAWIENIU, PRZEWLEKŁYCH,
UPORCZYWYCH ZAPARCIACH STOLCA, ORAZ PRZY NADMIERNEJ
DŁYGOŚCI, STOSUJE SIĘ, BEZ SPECJALNEJ DIETY LUB
ZMIANY TRYBU ŻYCIA, ŁAGODNIE PRZECZYSZCZAJĄCE
„SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA”
GAJECKIEGO (Z KOGUTKIEM)**

*Centleman dba o dobry kraj
futur i palta zimowego*



dol' Zaremba
uspolno 36 tel. 9-15-77

Prenumeratorzy nasi
otrzymują dziś, jak
PRZY KAŻDYM
NUMERZE „ŚWIATA”
ośmiostronicowy
dodatek bezpłatny

„POWIEŚĆ I NOWELA”

który
w tygodniu bieżącym
zawiera:

ZOFJA NAŁKOWSKA
Granica (wyjątek)

•

EDWARD ESTAUNIÉ
Głos z za świata

PRAGNIENIE

ORZĘDZUJĄCE

świetnie gawi
OR-SI
KARPINSKIEGO

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI
ROK XXX. Nr. 40
5.X.1935

L. CHRZANOWSKI

Europejskie konsekwencje czarnego konfliktu

Ustosunkowanie się do zagadnienia Abisynji wymaga rozważenia trzech problematów — które konflikt włosko - abisyński posiada jako pierwiastki podstawowe.

Problem ludzki, humanitarny, problem afrykańsko - kolonialny, problem europejski — oto trzy czynniki składowe. Trzeba je mieć wszystkie na uwadze, nie trzeba zapominać o żadnym, jeśli chcemy mieć pełnię obrazu.

Z punktu widzenia międzynarodowej sprawiedliwości, prawa, zasady niezależności i nietykalności granic — nie może być dwóch zdań, że Abisynja, broniąca swej suwerenności i całości, musi w Lidze Narodów i opinii świata znaleźć posłuch, sympatię i protektorat moralny. Tembardziej, że wchodzi w grę stosunek wielkiego mocarstwa do państwa mniejszego. Skoro jednak z idealnego terenu sprawiedliwości zejdziemy na teren praktycznej polityki, tej realnej polityki korzyści i ekspansji, jaką prowadzą wszystkie państwa — to niewolno nam nie dostrzegać tych pobudek ekonomiczno-prestiżowych, jakie imperjum Brytyjskie skrzętnie chowa za parawanem rzekomej obrony niezależności mniejszego państwa.

Gdy konflikt afrykański ujmemy pod kątem dwóch partnerów: Włochy contra Abisynja — możemy i musimy wyraźnie powiedzieć, że nie po stronie włoskiej jest racja. Ale skoro, uważniej patrząc, dojrzymy partnera trzeciego: An-

glję — zagadnienie zmienia się, przeistacza poprostu na walkę o wpływy, o tereny, o korzyści! To jest druga strona konfliktu — afrykańsko - kolonialna.

W tym momencie międzynarodowa sprawiedliwość nie ma nic do mówienia, bo ścierają się dwie wole, dwa impety ekspansji. Impet Włoch, szukających terenów, Włoch przy podziale kolonii niemieckich pominiętych i wola kolonizacyjna bogatej, w kolonje obrosłej Anglii.

Ten afrykański wygląd zagadnienia daleki jest od idealizmu. Chodzi poprostu o to, kto będzie abisyńską skórę garbował lepiej i bardziej bezkonkurencyjnie. Widzimy dokładnie, że metody kolonizacyjne angielskie są bardzo różne. To, na co można sobie pozwolić w Indjach, mniej uchodzi w wojowniczej, bardziej lądowej, mniej dostępnej Abisynji. Rękawiczki idealizmu, w jakich Anglia podejmuje w Genewie ekspertyzę humanitarną — są dokładnie nasiąknięte naftą, której zapach łatwiej jednak można znieść, głaszcząc piśszczotliwie brylanty i złoto — po które buduje się pocichutku asfaltową, wspaniałą szosę — łączącą wewnątrz Abisynji z Sudanem angielskim!

Oczywiście szosy tej, nazwanej już przez robotników europejskich, budujących ją, „mostem złota i asfaltu”, nie budują Anglicy! Gdzieżby, buduje ją kompanja amerykańska „White”!

SZLAKIEM PIECZAR FARAONÓW

Parawany firmowe zawsze dadzą się znaleźć. Droga Chartum—Tana jest na wykończeniu. Droga ta idzie starym szlakiem, zwanym szlakiem „Pieczar Faraonów”. Na tym szlaku, jak pisze jeden z francuskich korespondentów:

„Na dnie rzek jest złoty piasek, w ziemi znajduje się nafta, formacje zoologiczne wykazują rubiny, szmaragdy, djamenty; w górach, które w wielkiej części są wygasłymi wulkanami, można prawie na powierzchni zbierać platynę.

Któż na te skarby posiada dziś koncesję? Anglicy.

Obecnie droga Chartum — Tana już funkcjonuje i Anglia, zanurzając ramię w tych skarbach — przelewać będzie złoto Abisynji na rynki wielkobrytańskie”.

Od chwili, gdy ten „trzeci”, co budował drogę do skarbcza Abisynji, wniósł się tak „ideowo” do konfliktu — bój dyplomatyczny potoczył się nie o nietykalność Abisynji, lecz o tykalność „Drogi i Pieczar Faraonów”.

Liga Narodów, gdyby sztandarowi wolności i nietykalności narodów mniejszych chciała dochować wierności, winnaby wyprosić obu opiekunów z drogi Faraonów, na drogę sprawiedliwości.

EUROPEJSKA STRONA MEDALU

Ale istnieje trzecia, najbardziej nas dotycząca strona medalu — jest to wygląd europejski całego konfliktu.

Jaki efekt, jakie następstwa może pociągnąć za sobą wybuch wojny włosko - abisyńskiej w Europie. — Czy jest możliwość, iż tragiczna pożoga wojny afrykańskiej mogłaby przerzucić się i na ląd nie posiadający dróg Faraonów — natomiast głęboko tkwiący w Pieczarze kryzysu?

Nie pójdziemy dziś jeszcze tak daleko w obawach — jakie muszą się rodzić w umyśle każdego Europejczyka. Bo skoro kwestję Abisynji rozważać będziemy pod kątem europejskim — to musimy, niestety, w razie gdyby doszło do najgorszego, życzyć sobie przede wszystkim lokalizacji nieszczęścia.

Należy gasić płomienie wojny afrykańskiej, dopóki to możliwe — ale w razie pożaru, pierwszą myślą świata całego musi być wysiłek, by ogień nie przerzucił się na inne dachy. W tym punkcie sprawy interes świata — a Europy w pierwszym rzędzie — czyni konflikt abisyński zagadnieniem europejskim.

ROZSADNA, DYPLMATYCZNA CISZA W BERLINIE

Uczyńmy małą ale niezbędną dygresję. Zwróćmy oczy i uszy na Berlin. Od tej strony od dłuższego już czasu panuje zdecydowana, rozsądna, dyplomatyczna cisza. Co to znaczy? Berlin czeka. Czeką — bo kwestja ekspansji kolonialnej Włoch — to woda na młyn rewindykacji kolonialnych niemieckich. Zaznaczyliśmy, iż w powojennym podziale kolonii niemieckich Włochy zostały pokrzywdzone i pominięte. Wskutek tego może dziś prąku Abisynji. Ale też minimalna tendencja polubownej rekompensaty kolonialnej (gdyby była) z terenów posiadanych dziś przez Anglię czy Francję — otwierałaby prawną i proceduralną furtkę dla niemieckich rekryminacji kolonialnych. Po za stroną praktyczną dla Niemiec — dawałoby to im nowy atut dla rewizji traktatów w ogóle.

GRUPA PAŃSTW NIEZADOWOLONYCH

Ale Berlin, patrząc uważnie na toczące się boje dyplomatyczne, zdaje sobie sprawę i pamięta, że Włochy niezadowolone, Włochy odosobnione i zaatakowane w swym rozwoju przez Anglię, a opuszczone przez Francję, *siłą rzeczy muszą powrócić w Europie do grupy narodów niezadowolonych.*

To znaczy, do tej grupy, w której lat parę ostatnio tkwiły, a skąd rozsądna polityka Laval'a, powodując załagodzenie nieporozumień i tarć z Francją — wyprowadziła je stosunkowo niedawno.

Skoro Niemcy i Włochy byłyby po za Ligą, skoro Włochy w swym życiowym rozwoju napotkałyby pancerniki i torpedowce angielskie — to ewentualna rozmowa Musso-

lini — Hitler mogłaby mieć zgoła inne akcenty, niż rozmowa w Wenecji półtora roku temu!

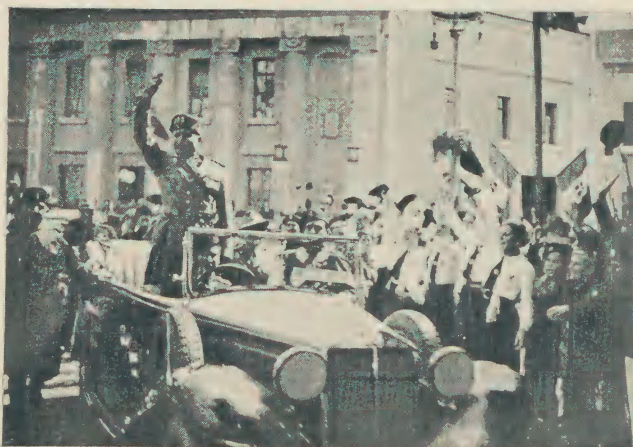
Nie zapominajmy, iż morderstwo kanclerza Dollfusa stało się tym kamieniem, o który potknęły się dobre stosunki włosko-niemieckie. Od tej pory chłód powiał od Brenneru, a Górna Adyga stała się nawet terenem włoskich manewrów o charakterze antyniemieckim.

W miarę jak wzmagał się i ustalał ten chłód — temperatura włosko - francuska normalizowała się. Włochy na terenie Europy weszły w konstelację państw zdecydowanie konserwujących stan rzeczy, ich rewizjonizm traktatowy przyćmił. Broniąc idei niepodległej Austrii — znajdowały się na tej samej Anschlussowej platformie, co Mała Entente'a. Włochy przedstawiały być zainteresowane w wywołaniu zmian terytorjalnych w Europie. Był to i jest jeszcze wielki pokojowy plus — *poważna gwarancja pokoju w Europie!*

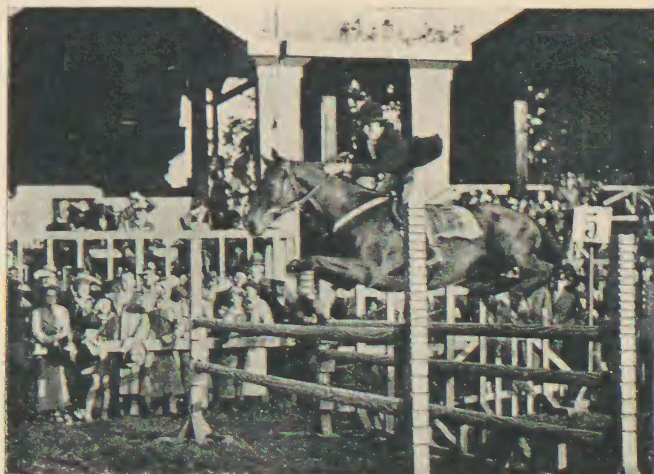
NIEMCY CZEKAJĄ

Dziś „przyciszone” Niemcy czekają. Czekają, że polityka Anglii odepchnie Włochy od grupy państw zdecydowanie broniących status quo w Europie. Liczą, że niezadowolenie Włoch — gdyby się o tamę angielskich poczynań rozbiły ich tendencje kolonizacyjne — wróci i to znacznie wzmożone na teren europejski.

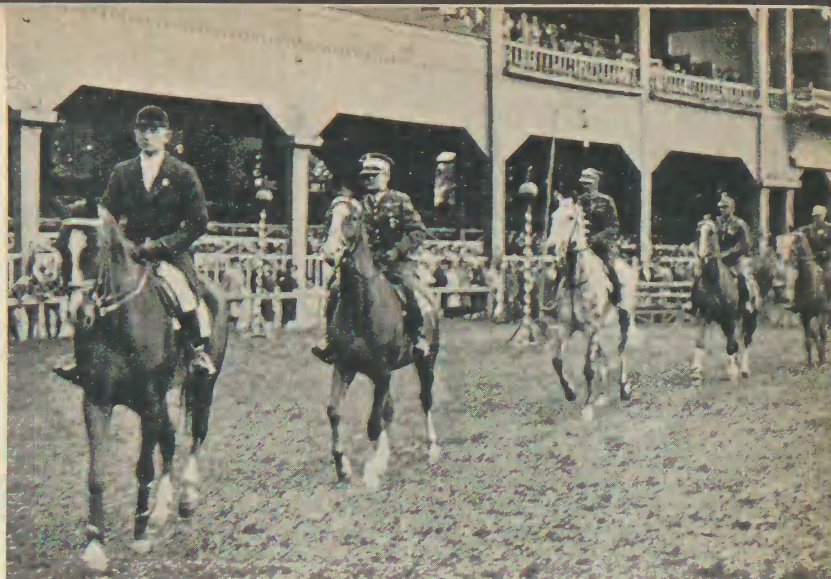
Problemat europejski konfliktu abisyńskiego nie jest, jak widzimy, taki obojętny. Nie pozwala on być nikomu zbyt zaufanym i tłumaczyć sobie, że to tam, daleko, na czarnym lądzie poszedł spór. Czujność i rozsądek narodów — baczność i zręczność ich dyplomacji są dziś niezbędniejsze niż kiedykolwiek.



Mussolini owacyjnie witany w Bolzano podczas włoskich manewrów

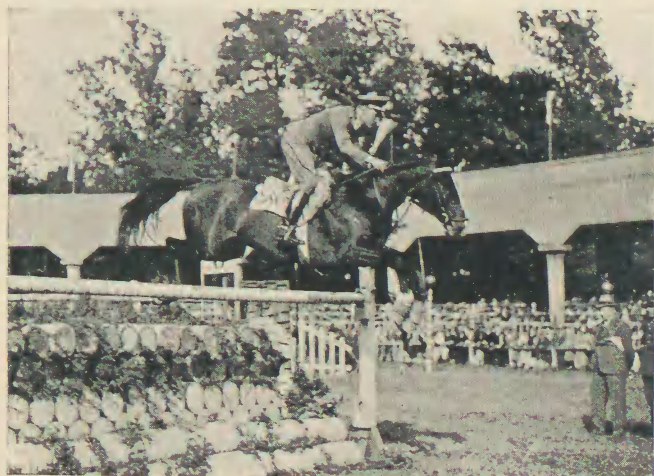


p. Marja Zwierzchowska — przebyła bravurowo swój parcours na „Urwisie”

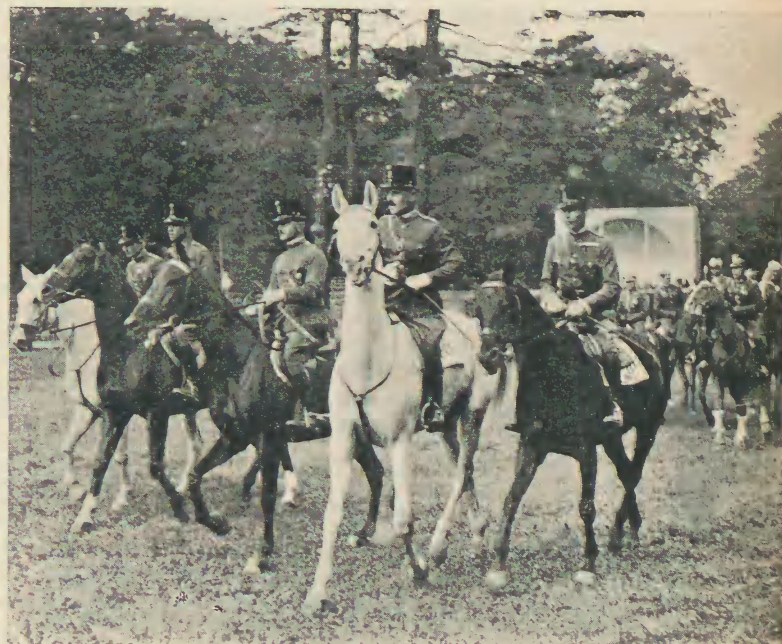


5-ciu naszych Olimpijczyków—prowadził ppl. Römmel (po cywilnemu) zanim mjr. Antoniewicz, mjr. Królikiewicz, mjr. Trenkwald i rtm. Szosland

ZAWODY KONNE W ŁAZIENKACH



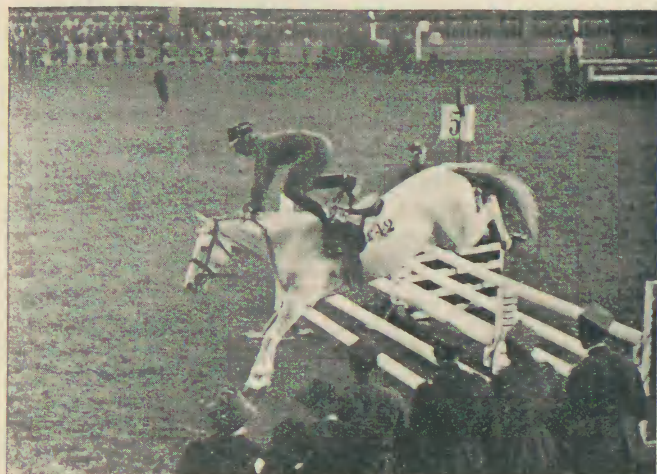
por. Brandt (Niemcy) zdobył na „Baronie IV” I-sze nagrody w Konkursie Otwarcia oraz Potęgi Skoku



Drużyna węgierska

Kpt. Dąbski - Nerlich na „Przybyszu”. Z tej zdawałoby się katastrofalnej sytuacji doskonały jeździec ocalił się szczęśliwie

Drużyna niemiecka



P O Ł Ó W

Czy Wilno leży w Polsce?

Taryfy kolejowe w Polsce uwzględniają przesyłki zboża do siewu po cenach niższych. Słusznie, jesteśmy krajem rolniczym. Jednak jak w praktyce stosuje się to prawo?

P. St. Wańkowicz pisze o tem w wileńskim „Słowie”. Oto ze stacji Bieniakonie do stacji Wilno wysłano dla majątku MejszaGoła 3338 kg. żyta siewnego, przyczem przesyłka była zaopatrzona w odpowiednie świadectwo Wileńskiej Izby Rolniczej. Kolej pomimo to pobrała pełną taryfę — prawie dwukrotnie wyższą od ulgowej. Dlaczego?

Dlatego, że nie było stempla ze stacji Bieniakonie, że żyto to przeznaczane się do użytku w granicach Rzeczypospolitej!

Zawiniła raz kolej, że nie przyłożyła stempla.

Zawinił drugi raz urzędnik określający taryfę przewozową — bo widać uważał, że Wilno nie napewno znajduje się w granicach Rzeczypospolitej.

A zapłacił — któżby? Rolnik-podatnik, dla którego robi się ulgowe taryfy ale—na papierze.

Wobec tego p. Wańkowicz pisze: „Wnoszę projekt utworzenia korpusu żandarmerji dla śledzenia i powstrzymywania zamachów biurokratów na życie gospodarcze obywateli, oraz usuwania pułapek, do których, nieświadomi tajników rozporządzeń, obywatele wpadają”.

Kto wie? Możeby spróbować?

Skromność

Goethe uważał siebie za największego człowieka na świecie. I wcale nie krył się z tem mniemaniem. Pewnego razu, przebywając na kuracji w Karlsbadzie, spotkał Beethovena. Dwaj wielcy ludzie wsiedli do powozu i pojechali razem na spacer. Wszyscy kuracjusze, widząc dwóch znakomitych twórców razem, kłaniali się im ze czcią. Goethe znudzony rzekł po chwili do Beethovena:

— Jakaż to straszna rzecz, ta sława. Widział pan? Wszyscy mi się kłaniają.

A Beethoven na to łagodnie:

„Niech się pan pocieszy. Niektórzy może przypadkiem kłaniają się.... mnie?”



Łańcuch... szalbierstwa

Rozszalały od paru tygodni „Łańcuch szczęścia” nie jest wynalazkiem polskim. Manja ta już przedtem ogarnęła Stany Zjednoczone, Francję, Włochy i inne państwa. Do nas przyszła względnie późno, jak wszystko.

„Łańcuch” ów — oparty na chciwości ludzkiej — jest zwykłym oszustwem, które przynosiło grubsze zyski pierwszym spryciarzom, puszczającym go w ruch. Inni — naiwni, ale także chciwi — czekali bezskutecznie.

Każdy chciał wydać złotówkę — a otrzymać 15 tysięcy...

Na szczęście, zajęły się tymi kombinatorami — władze. Niemal jednocześnie we Włoszech i w Polsce ukazały się wyjaśnienia oficjalne, na zasadzie jakich paragrafów „łańcuch” jest poprostu — przestępstwem. Kto nie ma ochoty usłuchać — i naprzekór zechce jeszcze spróbować „szczęścia” — ten poprostu zapłaci grubą grzywnę albo pójdzie odsiedzieć w więzieniu te swoje niewczesne zachcianki.

Władze nasze zabrały się do rzeczy ostro — i kompromitujące protokoły nie ominęły nawet wysokich urzędników, ich żon, etc. wpłątanych w tę niesmaczną aferę.

Feralna trzynastka

Bardzo wielu artystów unika „feralnej trzynastki”.

Gabriel d'Annunzio, stawiając datę na liście, nie pisze nigdy 13, ale 12 + 1.

Wiktor Hugo, Dumas, Teofil Gauthier — bali się trzynastki jak ognia i nie byliby za nic usiedli do stołu, jeżeli było przy nim trzynastie osób.

P E R E Ł

O wolność krytyki w Polsce

Wre walka na pióra — o „Kubusia”. *Pozornie* — tylko o niego.

Idiotyczną farsę schlaśtał słusznie Boy.

Obraził się o to Kaden i „zjeździł” krytykę pism stołecznych.

Boy zareplikował.

Kaden odpowiedział...

Walka wre.

Nie od rzeczy będzie przytoczyć, co w tej sprawie pisze redaktor naczelny „Kurjera Porannego”, gdzie ukazała się surowa recenzja Boya, która tak do żywego ubodła Kadena. Redaktor Stpi-czyński wyjaśnia, że jego współpracownicy mają zupełną swobodę słowa i niczem nie są krepowani. W gorących słowach broni dalej red. Stpi-czyński działalności Boya jako recenzenta, podkreśla jego dobrą wolę wobec T. K. K. T. — ale żąda słusznie swobody wypowiedzenia krytyki, gdy tego zachodzi potrzeba. I kończy taką apostrofą do Kadena:

„Juljuszu! — nie trzeba stwarzać pozorów, że nie znosimy głosów krytyki, znaczyłoby to bowiem, że nie mamy przed sobą przyszłości. A tak przecież nie jest”.

Wyjaśnienie redaktora Stpi-czyńskiego jest bardzo na czasie. Rozwiewa ono niezdrowe opary samouwielbienia, które unosiły się ostatnio nad teatrami subwencjonowanymi. I podkreśla, że można być doskonałym polakiem, znakomitym filarem obozu rządowego — a jednak nie uważać, że obraża Rzeczpospolitą krytyk, któremu zabrakło wreszcie cierpliwości na przyglądanie się bezsensownym i płaskim farsidłom.

Tak, tak — to trzeba umieć odróżniać: wypalenie verba veritatis teatrom subwencjonowanym nie jest jeszcze, chwalić Boga, *przestępstwem antypaństwowem*, jakby nam to energicznie niektórzy wmówić chcieli.

Zawsze wtedy

— Czy mąż wtajemnicza panią kiedy w swoje sprawy finansowe?

„O, tak, za każdym razem, kiedy chcę sobie kupić nowy kapelusz”.

Bywa tak — bywa i inaczej

Mówi się: „Napaść Włoch na Abisynję byłaby czymś oburzającym”.

Mówi się: „Należy zastosować ostre sankcje militarne”.

Mówi się: „I gospodarcze też. Nawet przedewszystkiem. Bo bez surowców, bez broni, zboża, mąki, nafty, — nie dadzą rady. Skapitułują”.

Tak się — mówi.

Ale już Japonia przygotowała i wysłała pełne okręty — czarnych koszul. Z napisem — jakżeby inaczej — „Eviva Mussolini”. I za bezcen.

Ta sama Japonia już przygotowała i wysłała — białe koszule do Abisynji, dla armji Negusa.

A „handlarze śmierci” wszystkich krajów — zbroją i tych i tamtych.

Byle sprzedać. Jedyne hasło.

Jednak nie: oto związek szewców londyńskich wystosował do swych członków zakaz wykonywania jakichkolwiek zamówień dla armji włoskiej.

Może dlatego, że niedługo będą zamówienia — dla armji angielskiej?

Liszt o Chopinie

Pewna młoda pianistka przez najwyższe jakieś protekcje uzyskała raz audjencję u Liszta — i mistrz zgodził się posłuchać w jej wykonaniu Ballady Chopina.

Wysłuchawszy — skrytykował surowo.

„Ależ mistrzu, powiedziała panienka — przecież ja powinnam grać to najzupełniej prawidłowo — wskazówki interpretacji otrzymałam od żony Schumanna”...

— Moje dziecko — odparł Liszt z uśmiechem — jakże możesz nawet przypuszczać, żeby matka sześciorga dzieci była zdolna zrozumieć muzykę Chopina?

Raj biurokracji

Że powszechnie brak mieszkań w Sowietach — o tem wszyscy wiemy. Hoteli brak również. Przejedny „szary człowiek” może nocować pod mostem. Dlaczego?

Bo, jak piszą ostatnio „Izwestja”, w Symferopolu np. najlepszy hotel całkowicie zamieszkały jest przez wysokich urzędników — na stałe.

Czy chociaż płacą? — Gdzietam.

Kiedy administracja hotelu ośmieliła się przesłać wysokiemu dygnitarzowi Sądu Najwyższego rachunek za pół roku za luksusowy pokój przez niego zajmowany, pan dygnitarz obraził się bardzo,

i w imieniu Sądu Najwyższego za bronił lokalnemu urzędowi mieszkaniowemu wtrącać się do spraw komornego.

Raj na ziemi. No i — „równość”.

Skandale rekordzistów

Czechosłowacja posiadała do roku ubiegłego rekordzkę świata w biegu na 800 metrów — Zdenkę Koubkovą. Nagle Zdenka usunęła się ze sportu. Przyczyny są nader sensacyjne, jak pisze „Kurjer Czerwony”.

Już od pewnego czasu zwracało uwagę zachowanie się Zdenki wobec koleżanek sportowych. W Katowicach, podczas spotkania czesko - polskiego, namiętna czeska nader gorąco objawiała swe zapale ku jednej z najładniejszych lekkoatletek polskich. Teraz — przyszło do jawnego zgorszenia. Zdenka tak agresywnie zachowała się w szatni swego klubu wobec koleżanki — że musiano ją natychmiast usunąć.

Bo cóż się okazało?

Prostu to, że „panna Zdenka” — jest mężczyzną!

Oszukiwała cały świat. Zbierała laury jako kobieta. Jako mężczyzna byłaby dawała wyniki sportowe niżej przeciętnych.

Ale co myśleć o kierownikach sportu czeskiego? Jeżeli istotnie nic nie wiedzieli — to znaczy, że w sporcie czeskim nie obowiązują ani oględziny lekarskie, ani masaże, ani kąpiele, ani tysiące innych zabiegów, podczas których prawda byłaby się ujawniła.

Jeżeli jednak to wszystko w sporcie czeskim, jak na całym świecie, obowiązuje — no to kierownicy jego wyglądają w tej sprawie jakoś niewyraźnie.

Kielbasa

W Grecji sport był szlachetnem współzawodnictwem, opartem na absolutnej lojalności. Tak sport rozumie Anglja. Rzetelność w sporcie i u nas uważana jest powszech-

nie za jego moralną podstawę. Dopóki sport był rozrywką „klas wyższych” — rozrywką bezinteresowną — nikomu nie przyszłoby nawet do głowy „podrabiać” rekordy i szachrować w zawodach.

Z biegiem czasu sport się wynaturzył. Coraz więcej w nim elementu „zawodowców” — i coraz więcej przedstawicieli „szerokich warstw”, dla których sport jest „karjerą”, i które sobie zbyt subtelnymi restrykcjami głowy nie zawracają.

Czołowy polski kolarz, Kielbasa, podczas biegu Warszawa — Berlin, kiedy oczy dwóch narodów zwrócone były na współzawodników — uważał za wskazane dopuścić się jawnego oszustwa: uczepił się samochodu, i tak sobie „ulżywszy” — wcale przyzwicie podreperował swoją szybkość.

Na szczęście, to spostrzeżono. Wyrzucono go z zawodów. I, jak wieści krążyły, miał być zdyskwalifikowany dożywotnio. Byłaby to kara zupełnie zasłużona.

Ostatnio gazety doniosły, że władze sportowe polskie uznały, że haniebny czyn Kielbasy — czyn sprzeczny z pojęciem honoru sportowca — zasługuje na *rok dyskwalifikacji*. Bardzo łagodnie. Zbyt łagodnie, jak na rodzaj wykroczenia.

To nie jest synekura

Korespondent paryskiego „Excelsiora”, Reber, donosi, że kanclerz Hitler ma jakoby na stałym żołdzie sobowtóra, który zastępuje go w okolicznościach specjalnie niebezpiecznych.

Korespondent rozmawiał nawet podobno z ludźmi, którzy widzieli sobowtóra Führera na terenie wili kanclerza, podczas gdy autentyczny Hitler brał udział w jakimś przeglądzie wojskowym. Reber podaje nawet bliższe szczegóły o osobie sobowtóra. Jest on — podobno Bawarczykiem i za swoje funkcje pobiera wysokie wynagrodzenie.

W życiu trzeba brutalnie

Senator Huey Long, który niedawno zginął od kuli rewolwerowej przeciwnika politycznego, był człowiekiem więcej niż energicznym. Kiedyś jeden z jego przyjaciół usiłował go przekonać, że właściwie w życiu nie warto tak nieustannie walczyć:

„Bo życie i tak ci nie da wszystkiego, czego zażadasz”.

A Long krótko i stanowczo:

„Ale jeśli mi da, to tylko to, czego zażadam!”

Uparty nurek.





KOŃ NIE

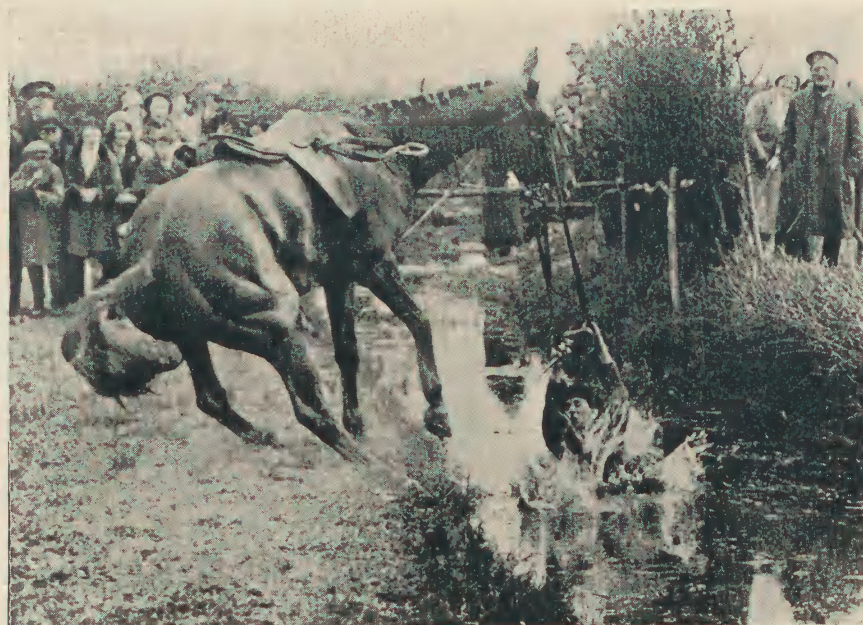
Wskrzeszone zawody kwadryg rzymskich

Motoryzujemy się... A przynajmniej dużo o tem mówimy. Nigdy jednak sportowy urok konia nie zaginie, jak nie zaginie różnorodność form współzycia człowieka z koniem.

Dziś, w chwili, gdy na Stadjonie w Łazienkach rozgrywają się najpiękniejsze zawody konne między współzawodnikami wszelkich narodowości, podajemy tutaj kilka charakterystycznych gestów i „fizjonomji” końskich, dowodzących,

że to szlachetne zwierzę nie zawsze bywa łatwe w obcowaniu.

Ujeżdżanie dzikich koni, wspaniałe wyścigi kwadryg rzymskich, niesamowite harce wierzchowca przy starcie wyścigowym, niefortunny skok przez strumień podczas biegu myśliwskiego — oto kilka aspektów niewyczerpanych emocji końskich. A flegmatyczny spokój dorożkarskich lub piwowarskich „zwierząt pociągowych” stanowi z nimi krańcowy kontrast.

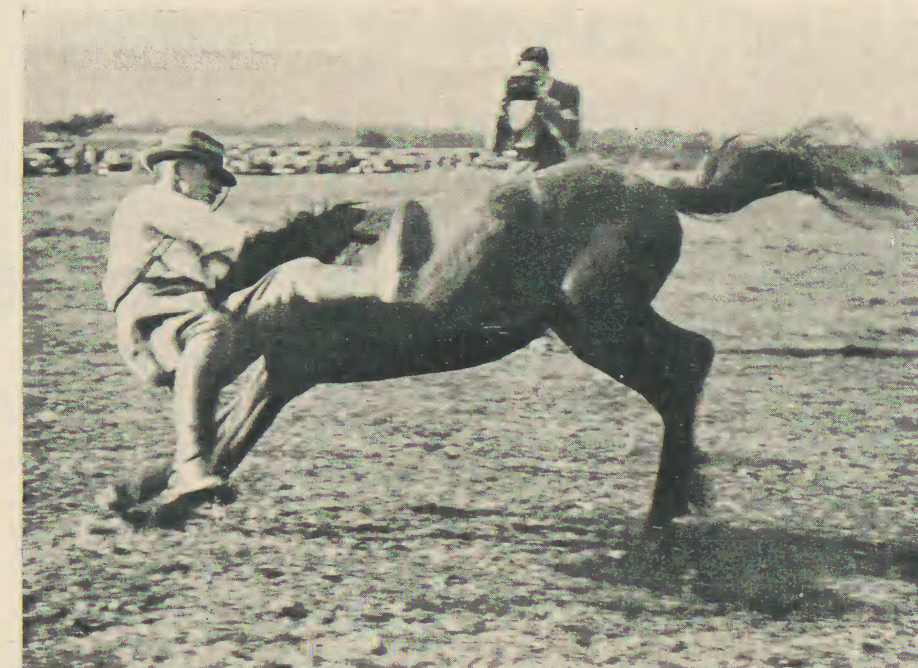


Skok przez strumień niezawsze uchodzi ...na sucho.



Ta pocziwa dorożkarska szkapa, zaprzężona do włoskiej „carrozzelli”, demonstruje ostatni model kapeluszy końskich, niezbędnych w gorącym klimacie.

KONIOWI RÓWNY



Ujeżdżanie dzikiego kuca bywa pasjonujące, ale nigdy nie jest łatwe. Jest to ulubiony sport w Yelverton w Anglii.



Przykład prawdziwej harmonji i niczem niezmqconej przyjaźni. Flegmatyczny koń piwowarski ze zgrozą zdaje się przyglądać nieprzystojnym harcom wyścigowego wierzchowca



Ożywiony start wyścigowy w Melbourne, w Australji.

KONIEC CZY POCZĄTEK

(Koresp. wł. Świata)

Genewa we wrześniu

Koniec czy początek? zadawał sobie pytanie każdy w Genewie, skoro przyszło włoskie odrzucenie propozycji komisji pięciu, skoro porządek dzienny Zgromadzenia dobiegł końca, a przewodniczący



Przewodniczący Zgromadzenia
min. Benesz

min. Benesz wygłosił swą mowę finalną. Ubiegłe zgromadzenie należało do tych zgromadzeń politycznych, kiedy zdrowy rozsądek i dyplomatyczna racja stanu, ujawniając się pod ręką, windują się na zwykłą jarmarczną huśtawkę i rozpoczynają z a b a w ę. Poeta nazywa to bujaniem w obłokach, publiczność zabawy ludowej „bujaniem” poprostu — a my przez wzgląd na wysokie osoby, biorące udział w tem przedsięwzięciu, ograniczymy się do określenia go „huśtawką polityczną”.



Delegat Turcji min. Tewfik Arras

Raz szedł w górę rozsądek, raz znów prestige — czyli najwątплиwszej wartości argument polityczny! Nic więc dziwnego, że komisja pięciu obradowała; to oficjalnie, to prywatnie, to w pięciu, to we trzech, dwóch, czterech! Optymizm i pesymizm „bują się” wzajemnie, aż kiedy praca została ukończona, Mussolini odrzucił jej wyniki. Właściwie nadziei na przyjęcie elaboratu komisji „5-ciu” było mało. Można śmiało powiedzieć, że ostatnie dni w Genewie upływały pod znakiem pewności, iż do konfliktu włosko - abisyńskiego dojść musi.

Liga czuła, że nie może zapobiedz konfliktowi — przyjęto więc psychicznie inne nastawienie. Zastanawiano się już w biurach sekretariatu i w niektórych delegacjach, jak zahamować starcie, skoro dojdzie ono do skutku.

Zwątpiono w ocalenie pokoju i raczej myślano o zorganizowaniu... zawieszenia broni.

Złe jest, skoro w instytucji, która miała być gwarantką pokoju —



Delegat Hiszpanji Madariaga

zwątpiono w możliwość osiągnięcia tego, co było i jest jej naczelnym celem. Wszyscy doceniają wysiłki komitetu pięciu: Madariaga, Laval, Beck, Benesz, Tewfik Arras — słyszą pochwały swej pracy — a jednak polityka Ligi była nieowocna, bo była zła od początku.



Min. Beck.

Od miesiący widziano szykowanie wojny — legalizowano ją niejako — bezczynnością. Nagle poderwano się, aby uchylać i opracowywać sankcje — sankcje, o których się wie, że nie osiągną skutku, albo poprowadzą do wojny w Europie! Wobec teraz nareszcie wchodzi się niby na drogę polityki obliczonej rzekomo na przy-



Min. Titulescu

szłość — polityki przewidującej. Liga z sekretariatem na czele, z odroczonym Zgromadzeniem opracowuje środki, któreby mogły szybko położyć kres działaniom wojennym, któreby szybko doprowadziły do... zawieszenia broni i rokowań pomiędzy walczącymi. W tym nastroju odbył się generalny odpływ delegatów, delegatek, dziennikarzy, dziennikarzy i snobujących egerji politycznych — zjeżdżających zazwyczaj do Genewy dla pokazania nowych toalet i swych nowych flirtów politycznych.

Dr. Ax.



Anglicy zbroją libijczyków (A)

Jeden z wybitniejszych znawców zagadnień kolonialnych I. Felice w „Popolo d'Italia” sygnalizuje niebezpieczeństwo, wynikające ze zbrojeń i przygotowań wojennych plemienia Senussi.

Ich wódz szejik Sefi-eddin jest w stałym kontakcie z agentami angielskimi i władzami egipskimi. Jak podaje Felice, w Marsa-Mabruk odbyła się tajna konferencja szejika z egipskim ministrem wojny i angielskim inspektorem wojennym armii egipskiej — Tordes'em. Według tych pogłosek, zarówno Londyn jak i Egipt przyrzekły szejikowi dostarczenie karabinów, naboju i karabinów maszynowych.

Plemię Senussi jest specjalnie wojownicze — około 20000 członków tego plemienia — po okrutnej ekspedycji karnej, urządzonej przez Włochów specjalnie w oazie Kufra — przedarło się przez granicę i zbiegło do Egiptu i Sudanu. Dziś pałają oni zemstą i tylko czekają na moment, by niespodziewanie napaść od tyłu na oddziały włoskie.

Malta przeciw Anglii (B)

Na Malcie od dłuższego już czasu panuje zaostrzenie stosunków między ludnością miejscową a władzami administracyjnymi Wielkiej Brytanii. Ludność Malty to najuboższa i najbardziej „ściśnięta” ludność Europy — na Malcie mieszka 225,000 mieszkańców na terenie 303 kilometrów kwadratowych i to posiadających glebę kamienistą i mało urodzajną.

Konflikt z ludnością Malty zawdzięcza Anglija niezręczności Campbella — gubernatora wyspy. Campbell spowodował w 1934 r.

TYDZIEŃ ŚWIATA

Wyekwipowany oddział wojska przeciąga ulicami Addis Abeby.

Przybyli ze wszystkich krańców Abisynji ochotnicy otrzymują broń nowoczesną.



decyzję angielskiego ministra kolonii, na zasadzie której język włoski został usunięty ze szkół początkowych, a dopuszczony tylko do szkolnictwa średniego. Na jego miejsce w sądownictwie i szkolnictwie początkowym wprowadzono rzekomy „język maltański”, stanowiący dialekt zbliżony do sycylijskiego, w którym znajduje się wiele słów pochodzących z arabskiego i z angielskiego. Jednocześnie zakazano szkół, kontrolowanych przez cudzoziemców. Ci cudzoziemcy to byli Włosi, którzy liczne podobne szkoły otwierali — a ludność Malty przeważnie dobrze znająca włoski do szkół tych garnęła się chętnie. W ten sposób powstał na Malcie ostry konflikt językowy. Konflikt ten właściwie istniał od roku 1931, t. j. od wprowadzenia konstytucji maltańskiej, „konstytucji niekompletnej”, jak mówili maltańczycy — „ponieważ włoski nie zastąpił angielskiego jako języka administracyjnego” — ten stan rzeczy trwał jednak, powodując mniejsze lub większe tarcia. Dopiero zarządzenie Campbella — wywołało ostry spór i wrzenie. Nacjonaliści maltańscy rozpoczęli gwałtowną agitację. Przy wyborach senatorskich 16 czerwca 1932 r. uzyskali oni 11 miejsc, wówczas gdy partja anglofilska lorda Stricklande'a — zaledwie cztery. Przywódca nacjonalistów Ugo Mitsud sformował rząd wyspy. Nie chcąc jeszcze zrywać z Anglią, maltańczycy zażądali *autonomii kulturalnej*. Dopiero działalność Campbella pchnęła ich na drogę polityki separatystycznej.

Nacjonaliści stali się separatystami!

Sir Campbell został odwołany — ale posiew złej polityki pozostał.

Teraz zaś maltańczycy najgorętsi i Włosi — mieszkańcy Malty — wysiedleni z wyspy, a również maltańczycy, którzy poprzednio wyemigrowali do Włoch — tworzą w Syrakuzach... Legion Maltański.

Być może, że maluczko, a Malta będzie miała swoją irredentę!

Być może, stanie się nową Irlandją? Nim to jednak nastąpi, jest jaskrawym, najbliższym przykładem obłudy Albionu, broniącego rzekomo niepodległości Abisynji, a odmawiającego maltańczykom... autonomii kulturalnej.

Wojna i zarobki trustów amerykańskich

(C). Jest rzeczą dowiedzioną, iż każda wojna przyczynia się do bogactwa dostawców rządowych. — Wojna z 1914 r. doprowadziła zarobki trustów amerykańskich do wyżyn fantastycznych. Generał Smedley Butler wydał ostatnio książkę o tych zyskach dostawców broni. Wśród ogłoszonych tam pozycji znajdujemy następujące: zakłady „Dupont de Nemours” realizowały od 1910 do 1914 r. zyski przeciętne około 6 milionów dolarów rocznie — w czasie wojny zaś osiągnęły „skromną” przeciętną — 58 milionów dolarów!

„Bethlehem Steel” — zarabiała w latach 1910 — 1914 około 6 milionów rocznie, w latach zaś 1914 — 1918 tylko... 49 milionów!

„United States Steel” w przeciągu pięciu lat przed wojną zarobiła około 105 milionów, w czterolecie 1914 — 18 suma ta zaokrągliła się do 240 milionów.

Fabryka miedzi Central Leather Co. pobiła jednak procentowo wszystkie wyżej wymienione —

przed wojną zarabiała ona przeciętnie 1.167,000 dolarów rocznie — a za rok 1916 wykazała zysk 15 milionów i 500 tysięcy dolarów!

Te „skromne” cyfry wykazują dobitnie, kto może sprzyjać wojnie, kto na ruinie egzystencji milionów rodzin, setek tysięcy egzystencji daleki jest od ruiny!

Przeciwnie — podczas wojny — stałe przed bramami złotodajnych sesamów.

Miny pod Wiedniem (I)

Pomimo pozornego przycichnięcia hasel anchlussowych — akcja socjalnarodowych w Wiedniu nie została poniekąd. Tylko teraz prowadzi się ją bardziej dyplomatycznie. Dewizą tej akcji stała się oględność. Nie budźmy czujności, nie zwracajmy uwagi świata — zdają się mówić nazisy.

Nie mówi się więc o Anshlusie — tylko chce się poobsadzać swymi ludźmi urzędy. Von Pappen działa uparcie nad rekonstrukcją rządu Schuschningga. Przekonawszy się, że jeszcze nie przyszedł moment, by zdobyć cały rząd nazysowy na wzór niemiecki — postanowiono działać etapami. W tych dniach odbyła się tajemnicza konferencja w zamku Fischhorn między von Pappen'em, Schuschninggiem i zarządcą prowincji Salzburskiej Rehrl'em.

Według pogłosek, z nowej kombinacji ministerjalnej byłoby usunięci: kanclerz Schuschningg, ks. Starhemberg, major Fey, Stockinger i Bergen - Waldenegg.

Kanclerzem miałby zostać gubernator Tyrolu Gleissner, który działa ręką w rękę z von Pappen'em. Szwagier Goering'a, były minister Hueber — który ma wyznaczoną akcję agitacyjną między urzędnikami, miałby otrzymać jedno z wyższych stanowisk. Wszyscy oni nie będą „czystymi” nazisami są jednak zwolennikami jaknajściślejszego porozumienia Niemiec i Austrii. Wszyscy są dawnymi członkami stronnictw prawicowych: pangermanistów i agrarjuszów.

Przy nowym rządzie Niemcy miałyby zagwarantowane prawo szerokiej agitacji na rzecz swej polityki; w tym celu utworzonoby organizację przysposobienia wojskowego.

Niemcy obiecują nowemu rządowi poważne koncesje ekonomiczne. Podczas tej konferencji Rehrl zagroził wywołaniem zaburzeń a nawet rewolucji, o ile Schuschningg nie przyjąłby jego planu.

Rywalizacje ex-premjerów

(I.). Podczas ostatniego Zgromadzenia Ligi Narodów w delegacji francuskiej zasiadali: Premier Laval oraz eks - premierzy Herriot i Paul Boncour. Obaj oni byli przeciwnikami polityki Laval'a. Jako zdecydowani przeciwnicy faszyzmu — potępiali pojednawcze wysiłki Laval'a, pragnącego skłonić Włochy do kompromisu i nie palącego się do podtrzymywania polityki angielskiej. Na temat tych dezaprobat, jakie słyszał od swych poprzedników Laval, kursowało w Genewie moc plotek i anegdot.

„Herriot — mówił ktoś do Laval'a — w 100-tu procentach jest zwolennikiem maszerowania Francji ramię w ramię z Anglią — nie można być większym anglofilem”. — Tak, tak — odparł smętnie Laval — wiem o tem; to zdecydowanie anglofil. Rusofil także! — do-

dał po chwili. „Ja nie mam tak wielkoświatowych aspiracji — jestem tylko frankofilem!”

Paul Boncour — podczas rozmów w kularach pouczał: „Czy wiecie, że była już kwestja Etoppii za czasów Ludwika XIV-go. W czasie kiedy powstał zatarg między Ludwikiem XIV-ym a sułtanem Egiptu, negus Abisynji ofiarował się Ludwikowi XIV-mu z pozbawieniem Egiptu wody”. — Ano, w takim razie — zauważył ironicznie jeden z prawicowych dziennikarzy francuskich — sytuacja nasza jest jasna, po tem, co etjopczyści uczynili dla Ludwika XIV-go, nie możemy ich opuścić”.

Paul Boncour po tej odpowiedzi miał trochę niepewną minę. Zdawało mu się, iż prawicowy dziennikarz kpi nieco z ekssojalisty - ministra. Zdawało mu się.... zdaje się, że miał rację, aby tak przypuszczać.

1 milion

creka
na Ciebie!

w kolekturze
„Szukasz szczęścia?
— Wstąp na chwilę!”

Centrala: Nowy-Swiat 68. Oddziały: Krak. Przedm. 87,
Nowy-Swiat 30, Chłodna 68, Marszałkowska 86,

Cafè „ADRIA”

„PAWILON SZAMPAŃSKI”

Nowy przybytek wytwornej rozrywki w „ADRI”
Ruchomy parkiet taneczny.

Muzyka, tańce i popisy, jakich jeszcze Warszawa nie
widziała, ze słynnym Leopoldim i Miłskają na czele

Pełny program równocześnie w kawiarni i dancingu

ŻYCIE W KOLORACH

Największą poczytnością cieszy się dziś niewątpliwie powieść-dokument pamiętnik, wspomnienia, reportaż — słowem, to wszystko, co opiera się mocno na przeżyciach rzeczywistych. Czytelnik woli bohatera może mniej efektownego, ale „żywego”, niż „wymyślone” osobistości.

Mamy już w piśmiennictwie polskim kilka wybitnych utworów ostatniej doby, w tym właśnie duchu poczętych. „Szczenięcie lata” Wańkowicza, „Przylądek Dobrej Nadziei” i „Rubikon” Z. Nowakowskiego, „Miasto mojej matki” Kadena — oto pozycje najbardziej charakterystyczne, najwybitniejsze.

Przybývá do ich grona obecnie powieść-pamiętnik Witolda Bunikiewicza, której druk rozpoczynamy w dzisiejszym numerze „Świata”. Lata dziecięce, szczęśliwe lata „w domu”, lata młodzieńcze — lata szkolne, wreszcie lata dojrzałe — w wojsku, w czasie wielkiej wojny — oto trzy okresy życia, które opisuje w swych wspomnieniach Bunikiewicz. Bezpośredniość wrażeń, żywość narracji, szczery humor, trafność słowa i bijący z tych wspomnień życiowy optymizm składają się na pociągającą całość powieści, złożonej z poszczególnych fragmentów życia chłopięcego i młodzieńczego, odtworzonych z wermą i talentem.

I.

RAJSKI OGRÓD

Tak długo byłem najmilszym i najrozsądniejszym dzieckiem nie tylko w domu moich rodziców, lecz w ogóle na świecie, dopóki nie zjawiała się ciotka Magdalena.

Chuda była, koścista, patrzyła przez okulary i miała wielkie uprzedzenie do dzieci, a zwłaszcza do chłopców, których określała jednym słowem: wisielcy.

Wprawdzie nie uważaliśmy tego za obrazę, lecz w pięć minut po zaznajomieniu się ze mną i z Władkiem dostrzegła cioteczka, iż z oczu nam patrzy szelmstwo i w ogóle nic dobrego z nas nie wyrośnie.

Władek pokazał jej przy tej sposobności język, a ponieważ byłem o rok mądrzejszy, zauważyłem głośno, iż ciocia Magdalena jest bardzo śmieszna i wygląda akuratnie tak samo jak baba Klempa, o której opowiadała nam bajkę stara Grzegorzowa.

Prawdopodobnie była to bardzo niestosowna odpowiedź, bo ciocia Magdalena zwróciła się z wyrzutem do naszej mamy, iż źle wychowuje synów, a na pocieszenie dodała, że z takich ciemnych postaci, jak my obaj, trudno będzie zrobić cośkolwiek na podobieństwo ludzi.

Nie twierdzą, aby taka przepowiednia zmartwiła mnie choć odrobinę, ale poraz pierwszy w życiu zrozumiałem, że są na świecie osoby, których spotkanie nie sprawia mi żadnej przyjemności.

Władek był również tego samego zdania, więc z uczuciem ulgi wkraczaliśmy do dzieciennego pokoju, gdzie wyrzucono nas po tej nieszczęśliwej prezentacji.

Na odchodnym zaś usłyszeliśmy od mamuni hłobową wiadomość, że jesteśmy niesforni i trzeba będzie zająć się nami inaczej.

Podjrzewałem, że z tego nic dobrego nie wyniknie.

W oczach zamajaczyło mi widmo Bolka, który jeszcze przed pół rokiem był najmilszym chłopcem na świecie, lecz po wypadku przy rybołówstwie, gdy załamała się pod nim zmruszała belka na słupie i wpadł w pięciometrową głębię, pojmowała go w najstraszliwszą niewolę guwernantka.

Wmawiano w Bolka, że omal nie utonął, ale jest to absolutna nieprawda, bo często pływaliliśmy po stawie i raz nawet urządziliśmy na czołnach bitwę morską.

Bolek z Marjanem zostali wprawdzie sromotnie pobici, a ich pancernik wywrócony do góry dnem, lecz możemy obaj z Władkiem zaświadczyć, że przeciwnicy nasi byli mistrzami w pływaniu. Rzucili się obaj do wody i wpław dobili do brzegu, zagrażając naszej flocie celnymi pociskami.

Władek długo potem nosił guz na czole, ponieważ jednak jest szlachetnym i nigdy nie zdradził tajemnicy, więc po długich badaniach zwierzył się mamie, że stał pod gołębnikiem i spadło mu na czoło gołębie jajo.

Powszechnie się dziwiono, że taka kruszyna nabiła takiego tegiego guza, ale ponieważ dzieją się jeszcze większe cuda, a przed pół rokiem od jednej głupiej zapałki, zaświeconej przez sześciolletnią dziewczynkę, spłonął młyn z dwoma śpichrzami i dwadzieścia domów—co rozsądnie uważał Władek w czasie indagacji — przeto mamunia poleciła natychmiast oczyścić gołębnik, pozabijać wszystkie szpary i oporządzić wyłoty, aby biednym ptakom nie wylatywały jaja na ziemię.

W ten sposób bitwa morska wyszła gołębiom na dobre, a sława czynów naszych na wodzie nie doszła do ogólnej wiadomości.

W ogóle starsi mają zupełnie błędne mniemanie o dzieciach i uważają je za niezdary i niedołęgi.

A tymczasem rzecz przedstawia się zupełnie inaczej.

Weźmy na ten przykład Staśka, syna ogrodnika, albo mnie.

Zeszłego lata przyłapano nas na szczycie topoli, gdyśmy obrywali jemiołę.

Czyniliśmy to z dobrego serca, bo powiedział nam ogrodnik, że jemioła jest wstrętnym pasożytem i nikczemnie wyzyskuje drzewo, żywiąc się jego sokami.

Chcieliśmy więc uwolnić wszystkie drzewa w okolicy od nieszlachetnego wyzyskiwacza, a złapano nas zaraz na pierwszej topoli.

Co to był za krzyk!

Rozpaczano, że połamiemy sobie kości, pokreślimy karki i żywi nie wrócimy na ziemię.

Tymczasem na szczycie czuliśmy się jeszcze lepiej, niż w dzieciennym pokoju. Wiatr bujał drzewem jak huśtawką, a gałęzie przyjemnie skrzypiały, niby świerszcze w kominie.

Ukruszyły się wprawdzie pod nami dwa konary, ale były uschnięte, więc drzewo nie poniosło żadnej szkody.

Pod przymusem prośb, gróźb i hałasów zleliśmy wreszcie ze szczytu, nie dokończywszy szlachetnie rozpoczętego dzieła.

Stasiek dostał od swego ojca za uszy, a ja pokutowałem cały dzień w pokoju, dowiedziawszy się z ust mamy, że mam ulicznikowskie porywy, które nie licują z powagą dziesięcioletniego chłopaka.

Skoro jednak nadeszła jesień i zbierano jabłka w ogrodzie, któż pomagał starszym, jeśli nie my?

Ten sam ogrodnik, który narobił w lecie tyle krzyku pod topolą, namówił nas, abyśmy oberwali z wierzchołków jabłonek ślicznie zaróżowione owoce.

Mógł sam wleźć, albo poprosić naszą mamunię, lub wreszcie starą Grzegorzową, która najgłośniej wrzeszczała, że życiem lub kalectwem przypłacimy wyprawę po jemiołę.

Wiadomo, że sprawiliśmy się dzielnie, a nawet Władek, który kilka razy spadł już szczęśliwie z drzewa, popisał się tym razem nadspodziewanie.

Nawet majtek nie rozdarł i tylko dwa razy wysypał koszyk z jabłkami na głowę żony ogrodnika, ale był o rok młodszy odemnie i w dodatku z natury niezgrabny.

Wtedy jednak wypłynęła oliwa na wierzch, że starsi nie mogą poradzić sobie bez dzieci i gdyby nie nasza pomoc, napewno zgnilyby jabłka na drzewach.

Tak samo i teraz, złapano nas i wyrzucono z dużego pokoju niewiadomo za jaką przewinę.

Wprawdzie Władek postąpił dość nietaktownie, pokazując język cioci Magdalenie, ale ja nie poczuwam się do żadnego grzechu.

Przecież tatuś, mamusia i pan Workiewicz, który od dwóch lat udziela nam nauk, powtarzają stale, że dzieci powinny mówić prawdę i być szczere wobec rodziców.

Powiedziałem, co myślę o cioci Magdalenie i wyjawilem, że podobna jest do baby Klempy. Nie cofnę tego, choćby mnie smażono i pieczono, bo prawda jest po mojej stronie, a prawda musi zwyciężyć.

Tego dnia nie mieliśmy już lekcji ze względu na przyjazd cioci i jutrzejsze imieniny mamuni, niepotrzebnie więc Władek wlaź pod łóżko i siedział w kryjówce aż do chwili, gdy mu oznajmiłem, że czcigodny nauczyciel wytoczył się już za bramę i znajduje się w końcu grabowej alei, prowadzącej wprost do szkoły, obok której rezydował pan Workiewicz, zwany czasami woreczkiem, a często workiem i rozporkiem. Nazwy te były uzasadnione.

Gdy pan Workiewicz przychodził w niedzielę na obiad, wnoszono na stół podwójne półmiski, a jedzenie przeciągało się tak długo, że skutkiem okropnych nudów przychodziło zawsze między mną i Władkiem do nieporozumienia.

Zwyczajnie Władek mnie uszczypnął, albo ja go kopnąłem, chcąc zwrócić uwagę, że profesor nabiera poraż czwarty pełny talerz mięsa z jarzyną.

Bardzo trudno wymiarkować średnio proporcjonalną przy szczypnięciu, albo kopaniu.

Albo jest ono za delikatne i towarzyszy niczego się wtedy nie dorozumie, albo za mocne, a w takim razie zwykła następować reakcja i odwet.

Zwyczajnie kończyło się zwracanie uwagi na apetyt profesora wyrzuceniem nas od stołu, co równało się utracie deseru. Napewno pan Workiewicz z tego korzystał i uprzątał do czysta leguminę z półmiska, bo gdyby z niej co zostało, napewno dostalibyśmy później od mamusi, po uroczystych przeprosinach i obietnicy, że będziemy przyzwolici przy stole.

Pana Workiewicza pozbawili Austriacy chleba, ponieważ nauczał w szkole, że cesarz Franciszek Józef jest satrapa i udaje fałszywą przyjaźń do Polaków, lecz wiadomość ta wcale nas nie wzruszyła, bo przecież bez chleba można się obejść, zwłaszcza, gdy są świeże bułeczki i słodki placek.

Natomiast przejęło nas do głębi opowiadanie mamusi, że nauczyciel jest biedny i ma żonę.

Skoro zaś dowiedzieliśmy się, iż córeczki panna Workiewicza są jeszcze malutkie i bardzo grzeczne, nabraliśmy do niego wielkiej sympatii i postanowiliśmy na wszelki sposób zaradzić jego biedzie.

Więc podczas lekcji rachunków wsunął Władek garść biszkoptów i sześć kawałków cukru do kieszeni profesora, ukrytej w długiej pole staroswieckiego surduta.

Trzeba oddać pochwałę, że uczynił to sprawnie i bez szelestu.

Na pierwszy raz była to porcja skąpa, ale nie można było zdobyć na poczekaniu większej, nazajutrz jednak wsadziliśmy do kieszeni pedagoga pół kurczęcia zaoszczędzonego przy obiedzie i spory kawałek omletu, który Władek ściągnął zgrabnie z mego talerza do serwety. Byłbym go kopnął za taką sprawkę, lecz przypomniałem sobie, że miłosierdzie jest czynem dobrym, który powinien zostać w ukryciu, w myśl zasady: niech nie wie prawica, co czyni lewica.

Kopnięcie zaś mogło być za silne.

Lecz w trzy dni potem sprawa się wydała, dzięki niezgrabności Władka,

Nie udało mu się tym razem wsunąć pięciu kromek chleba z masłem i dwóch pomarańczy do rozporka Workiewicza.

Pedagog schwycił go na gorącym uczynku i zaprowadził do tatusia. Była to tak wielka instancja, iż na samą myśl, co powie ojciec Władkowi

biło mi serce z obawy. Lecz spryciarz Władek umiał sobie poradzić.

Gdyby to na mnie trafiło, mileżałbym jak grób, choćby mnie posiekano w kawałki, ale on był młodszy o rok i mazgaj, więc rozplakał się przed ojcem i opowiedział wszystko, jak było.

Skorzystałem i ja na tem, bo ominęła nas wtedy lekcja, gdyż pan Workiewicz miał lzy w oczach, a tatuś szarpnął długie wąsy, co było dowodem, że jest z czegoś zadowolony.

Natomiast tego dnia maszerowaliśmy długo pod komendą ojca w dużym pokoju i ćwiczyliśmy zwroty wojskowe, aby od młodości zaprawiać się do wojaczki.

Postanowione już było zgóry, podobno przed naszym urodzeniem, że mamy być obaj żołnierzami i tak jak tatuś pójść do powstania, aby zdobyć Polskę.

Maszerowanie nie było jednak tak prostą sztuką, jakby się pozornie wydawało.

Zwłaszcza Władek tracił zwykle kierunek i zamiast zdążać prosto przed siebie czynił niespodziewanie łuk, zawadzając przy tej sposobności o krzesła, które leciały na ziemię z łoskotem, lub nabijając sobie guza o fajczarnię.

Gdy Władek maszerował, bezpieczniej było chować nogi pod kanapę, ale i ta ochrona okazywała się często zawodną, bo w niewytłumaczony sposób wlaził widzowi na bolesny odcisk, jakby popychała go akuratnie w to miejsce niewiadoma siła przyciągania.

Bardzo mi się podobało przyszłe powołanie, ale Władek, wobec stałych niepowodzeń w marszu, oświadczył, że woli być biskupem niż generałem, więc ostatecznie zdecydowano, że musi zostać w pułku kapelanem, bo na żołnierza nie nadaje się, jako chroniczny niedołęga i niezgrabiasz. Wtedy ciocia Magdalena przepowiedziała nam jak najgorszą przyszłość, postanowiliśmy jej pokazać, że wcale nie mamy zamiaru zostać wisielcami, lecz przeciwnie, dostąpimy wielkich godności.

Przeto Władek ubrał się w piękny ornat, arcydzieło własnej roboty, malowane w czerwone pasy i niebieskie gwiazdy, włożył na głowę infulę z papieru, a w rękę ujął pastorał, prześlicznie okleiony srebrnym i złotym papierem.

Nie wypadło, abym był gorszy od niego, więc przystroiliśmy się również paradnie w ułańskie czako, szablę, dwie strzelby, przewiesiłem bęben i trąbę przez plecy i w takim rynsztunku gotów byłem sprezentować się cioci Magdalenie, aby wiedziała czem już jestem, a czem jeszcze będę w przyszłości.

Odwieczny jednak spór o przewagę władzy duchowej nad świecką zmącił doskonałą harmonię dwóch dygnitarzy.

Śmignął pastorał i spotkał się z ciosem błaszaną szablą, infuła pochylona się na bakier, a czako ułańskie z biedą wytrzymało grzmotnięcie pięści.

Kto wie, jakby się była skończyła walka o pierwszeństwo, gdyby nie otworzyły się drzwi od pokoju dziecinnego, a na progu nie pojawiła się ciocia Magdalena, mamunia i stara Grzegorzowa.

Za nimi zaś posuwał się leniwie Bączek, pies bardzo nieprzyjemny.

Przywiozła go z sobą ciocia Magdalena i nazywała swym synkiem.

Bączek był bardzo opasły i kudłaty, nosił czerwoną kokardę na szyi i ciągle warczał, z nami zaś nie miał ochoty zawiązać węzłów przyjaźni, choć nawet srogi Łapaj, pies podwórzowy, okazywał nam sympatię i pozwalał odwiedzać się w budzie, a nawet ciągnąć za uszy i ogon.

Bączek niepodobał się nam jednak od pierwszej chwili, choć mamusia a nawet tatuś twierdzili, że jest śliczny.

A tatuś znał się przecież doskonale na wszystkim, bo brał udział w powstaniu, ma wybitą szczękę kolbą moskiewską i przestrelone ramię, które go bardzo boli każdej jesieni i wiosny.

Na widok starszyny w drzwiach pokoju przewaliliśmy pojedynek, akuratnie tak samo, jak bohaterowie z pod Troi, gdy zjawiała się na placu boju Atena lub inne jakieś bóstwa. Ciocia Magdalena trzęsła się z oburzenia i wywijiała próżnem pudełkiem, dowodząc, że jeszcze przed godziną spoczywał w niem ogromny tort, który przywiozła w podarunku mamusi na imieniny.

— Chciałam ci moja droga, — jęczała cioteczka, zwracając się do mamy, — bo wiem, jak lubisz marcepany, ale te urwisze już cię wyręczyły.

Patrz, patrz, Władek jeszcze się obliżuje, a Jankowi aż napęczniał brzuch z obżarstwa, trzeba im natychmiast dać rycynusu, bo ciężko się rozchorują.

Oszczerstwo samo przez się dotknęło nas niemiło, ale żeby w dodatku być niewinnie skazanym na wypicie rycynusu, tego nie mogły ścierpieć nawet zupełnie obojętne dusze.

Władek ryknął żałością, a ja, oparłszy koniec szabli na porzuconym pastorał wyrzekłem pośępnie, lecz stanowczo:

— Nieprawda, nie zjedliśmy!

— Jeszcze się zapiera i zamiast wyznać otwarcie winę, kłamie, dobre z niego urośnie ziółko, — wołała ciotka Magdalena, litując się nad mamunią, która dochowała się takiego utrapienia z synami.

Choćbym był skamieniał w stanowczości, na nic by się nie zdały wszelkie zaprzeczenia, bo Grzegorzowa przypomniła sobie w samą porę, że akuratnie przed rokiem wysmarowałem kotowi wąsy i ogon tatusiową fiksatywą, a Władka schwytano na gorącym uczynku, gdy wyjadał w kredensie konfitury ze słoika.

— Ależ nikt inny, tylko oni — upierała się ciocia, gromiąc nas coraz zjadliwszymi spojrzeniami, z których można było wyczytać:

— Dziękuję ci Panie Boże, że nie dałeś mi dzieci, stworzonych na udręczenie rodziców, ciotek, krewnych i całego otoczenia!

Mamusia jednak zdawała się niedowierzać naszej winie i spoglądała podejrzliwie na Bączka, który ledwie się poruszał i sapał ponuro, jakby dźwigał ciężary.

Poprawiły się nieco nasze szanse, gdy zjawiała się pokojówka Renia i oznajmiła, iż na własne oczy widziała, jak Bączek zlizywał z mordy migdałową masę.

Wyjaśnienie jej spotkało się wprawdzie z gwałtownym protestem cioci Magdaleny, lecz nieco pogmatwało sprawę. Nie uraczono nas wprawdzie rycynusem, ale na wieczór dostaliśmy tylko herbaty i po jednym sucharku, aby nie przeładowywać żołądka.

Niewiadomo bowiem było — jest w nich tort, czy go niema?

Zasnęliśmy rozżaleni do świata, śniąc o koniecznej samoobronie, wobec tego, że ciocia Magdalena przyjechała na czas dłuższy.

* * *

Następnego dnia panowało w domu świąteczne ożywienie.

Grzegorzowa wystroiła nas w nowiutkie ubrania i sama zawiązała kokardy przy kołnierzyku, a tatuś zaprowadził nas do pokoju mamusi, albowiem był to dzień jej imienin.

Wszystko odbyło się w najlepszym porządku.

Laurka, bukiet kwiatów i wierszyki z życzeniami ucieszyły mamusię, a zwłaszcza Władek zrobił duże wrażenie, albowiem wygłosił powinszowanie z wielkim zapalem i natchnieniem.

Nie słyszałem, aby ktokolwiek piękniej wygłaszał wiersze, a nawet Sewerka Zawichocka, gdy deklamowała za fant, nie mogła się równać z Władkiem, chociaż uczęszczała już do gimnazjum, a z nami nie chciała nawet rozmawiać, na powitanie zaś i pożegnanie kiwała zlekka głową.

Już od samego południa poczęli zjeżdżać goście, a ciocia Magdalena wręczała mamunię w stołowym pokoju i kredensie, gdzie rej wodziła Grzegorzowa, przy wszystkich uroczystych okolicznościach zła jak osa.

Ciocia Magdalena krążyła wokół stołu, raz po raz przesuując na nim zastawę, lub zmieniając porządek nakrycia.

Widać że sprawiała jej to wielka przyjemność i napędzała dumą, a tak zazdrosna była o swe dzieło, iż nawet mamuni nie pozwalała się zbliżyć do stołu, nie mówiąc już o nas.

Siedzieliśmy więc w dzieciennym pokoju, wyglądając przez okno, kiedy ukaże się znany nam pojazd z Ostrowa, a w nim pani doktorowa Juleczka.

Za nią jedną odstąpiłoby wszystkich gości razem, nie wyłączając wujka Kazia, który cieszył się naszym szczególnym szacunkiem, bo był prawdziwym oficerem ułanów, nosił długą szablę i ostrogi.

Pani doktorowa miała dwuletnią córeczkę Marysie i nieraz mówiła, że chowa ją na żonę dla mnie, albo dla Władka. Któżby ją jednak chciał, była nieforemna, jak obłupana galka i przy każdej sposobności nieznośnie pieszczala.

Pani Juleczka wybierała się wraz z mężem na dłuższy czas zagranicę, a gdyśmy z tego powodu byli bardzo smutni, powiedziała przy mamuni, tatusi i panu doktorze, że nie przestanie lubić obu urwisów i nigdy o nich nie zapomni.

Pytanie tylko, kogo lubiała więcej? Władek dałby się porąbać, że jego woli odemnie, co dowodził w sposób niemądry i nieodpowiadający prawdzie.

Na świętego Szczepana, gdyśmy z rodzicami przyjechali do Ostrowa, pani Juleczka włożyła mi na talerz dwa kawałeczki placaka z czekoladą i taką kupę bakalji, iż z trudem zdołałem je schrupać.

Natomiast Władek utrzymywał uparcie, że jego jeden kawałek placaka był większy od moich

dwóch, a bakalji tyle miał na talerzu, iż powybiebrał tylko daktyle i migdały, a resztę zostawił nieknięte.

Na taki argument odpowiadałem innym.

— Chwaliła moje króliki, a na twoje nawet nie spojrzała...

— Głupstwo króliki, bo o mnie się wyraziła, że bardzo dobrze wyglądam uczesany na jeża—odpowiadał Władek, dumnie gładząc swą czuprynę.

Raz rozpoczęte przepieranie na ten temat doprowadziłoby napewno do poważnego zatargu, któryby musiał się zakończyć wkroczeniem Grzegorzowej, lub mamuni, lecz w grabowej alei ukazał się zaprząg kasztanów, którym powoził znany dobrze Onufry.

Jechała pani Juleczka.

Na ten widok ruszyliśmy obaj z miejsca, aby jaknajprędzej znaleźć się na ganku i dopomóc damie naszych serc przy ściąganiu kaloszy, a kto wie nawet, czy nie płaszcza.

Droga wiodła przez pokój stołowy, gdzie z rozmachem pierwszy wpadł Władek, przewracając wyprobowanym swym zwyczajem stolik z samowarem.

Łomot spadającego naczynia dodał mu bodźca do niesamowitego skoku wprzód. Lecz zawiodła posadzka, szkliska i wypolerowana, noga usunęła się w bok i z szybkością 100 kilometrów na godzinę wjechał nierozważny akrobata pod stół świątecznie zastawiony.

Zadrżała podłoga, zachybotał się stół, a starannie ustawione talerze, szklanki i butelki runęły na ziemię, rozbryzgując się w setki skorup.

Władek trzymał w ręku koniec serwety, który chwycił, jak tonący linę i jęknął z bólu i wrażeń.

Ciocia Magdalena zemdląła.

* * *

Po tych przykrych wypadkach nie ulegało już żadnej wątpliwości, iż chłopcy ani chwili nie mogą zostać bez opieki.

Doradzała to stara pani Osikowska, a ciocia Magdalena nastawała uporczywie, by przyjąć do domu guwernantkę. Nadarzała się wyborowa okazja, gdyż była właśnie wolna fräulein Anna, albowiem Olka Zatońskiego oddawał rodzice od półroczu do Chyrowa.

Nie szła mu wcale domowa nauka do głowy, lecz wiadomo, że była to wada rodzinna, więc fräulein Anna nie mogła ponosić żadnej odpowiedzialności.

Zresztą wuj Kazio zaręczył, iż Niemka jest osobą zasługującą na pełne zaufanie, urodzoną w Wiedniu, pełną dystynkcji i słynną z dobrego serca.

A wuj Kazio znał się wybornie na tych sprawach, bo był wysoki, brunet, nosił pod mundurem gorset i jeździł na dworskie bale do Wiednia, delegowany przez pułk, jako znakomity fancerz. Wujek mawiał często, że gdy urosnę, weźmie mnie do swego pułku i zrobi adjutantem, gdyż do tego czasu już się postarzeje i będzie napewno pułkownikiem.

d. c. n.

NORDKAP

(Przylądek Północny)

— „Pobudka o 3.30 rano, śniadanie o 4-tej, pierwsza motorówka na ląd o 4.15” — odczytał oficer przy akompaniamencie głośnych, gderliwych „a, a, a” i zupełnie nieartykułowanych wyrazów niezadowolenia. Zbliżamy się do Nordkapu, najbardziej północnego miejsca w Europie — właściwie celu i zarazem punktu zwrotnego naszej podróży.

Idealiści marzą już o tem, jak to oni z tego egzotycznego miejsca wyślą karty do znajomych z autentyczną pieczęcią „Nordkap”.

Turyści czyszczą podkute buty, leniwi polecają się budzić „żeby nie wiem co”.

O czwartej rano wychodzimy na pokład. Okręt stoi. Dalszą drogę zagradza naga, ciemna skała. To Nordkap. Siecze lekki kapuśniaczek i chłód przejmuje kości, ale podobno mamy ładną pogodę, gdyż na Nordkapie deszcz pada 360 dni w roku.

Na chwilę jakby dla zachęty wygląda blade, anemiczne słońce — i oburzone widokiem tyłu intruzów kryje się szybko.

Nawet najbardziej flegmatycznych i zblazowanych ludzi ogarnia uczucie jakiegoś lęku przed wrogością tej nagiej, samotnej skały. Nigdzie może nie było nam tak bardzo „daleko”, jak w tej chwili przed wsiadaniem do motorówek — nie dlatego, że Nordkap jest istotnie najdalszym punktem naszej drogi — ale raczej dzięki panującej tu atmosferze zupełnie bezludnego miejsca.

Tak wyobrażają sobie dzieci „sam koniec świata”.

— „A wiesz, w Baedekerze piszą — mówi jedna pani do drugiej, — że tu trzeba chodzić po klamrach — i że bagniska są takie...” „Głupia jesteś!” — przerywa jej druga — „przedwojenny Baedeker — a ona wierzy”.

„Któż wogóle przed Nordkapem czyta Baedekera” — oburza się jakiś urodzony pionier.

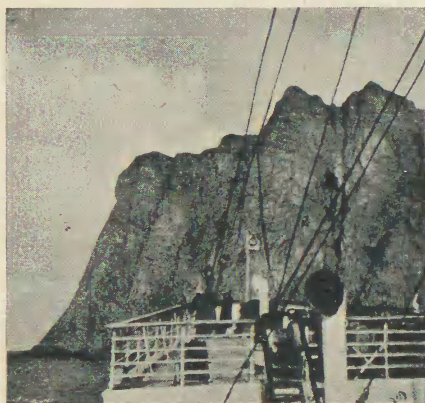
Motorówki kołyszają nieznacznie. Przeby-



...a na dole w szarzyźnie i mgłę Ocean Lodowaty.

wamy spory szmat wody — wreszcie prymitywna przystań — i... kilka bud ordynarnego, buraczkowego koloru rozłożonych u stóp góry. Na jednej biały olejny napis „Café Nordcap”.

Obok dyskretny przybytek z szyldem „ladies” — „gentelmen”.



Ostatni szczyt Europy

Kultura — kulturą, ale...

Namiet Lapończyka i kilka kramów z pamiątkami dopełniają obrazu.

Wspinamy się pod górę, aż do szczytu. Cóż to za trudna droga — gdy się zapomniało o podkutych butach. Wiedzą

o tem sprytni chłopcy, którzy stoją mniej więcej w połowie drogi — kiedy to człowiek jest już trochę zmęczony i sprzedają po koronie laski z napisem „Nordcap”. Oczywiście o wiele łatwiej chodzić z laską, wszyscy kupują, ale...

Pozatem jeszcze jeden lek na zmęczenie. Trzech muzykantów wygrywa na harmonjach — skoczną, zupełnie warszawską „ojrę”. Niby, żeby nam raźniej było iść, — żeby się nie smęciło na tej kamienistej drodze. Naprawdę wzruszająca troskliwość. Żeby choć ta muzyka rozdzierająca uszy i serce nie była tak donośna, żeby ją choć przytłumił wiatr!

Ale wiatr czeka na nas dopiero na szczycie — tutaj widać zawarł umowę z muzykantami, że nie będzie tłumił przeczystych tonów ich harmonji.

Wreszcie szczyt. Jeszcze 10 minut najtrudniejszego marszu po równinie.

Tutaj wiatr wyprawia harce tak dziwne, że na określenie ich niema nazwy w języku polskim. Wyje, skowyczy, świszczy — nie — coś więcej, czy to wszystko razem. Przedewszystkiem gna zmęczonego człowieka — tak, że biegiem przybywamy do „ostatecznie najpółnocniejszego” miejsca Europy.

Tę ostateczność widać bardzo plastycznie. Krańcowy wyniosły kawałek lądu, na którym stoimy — a na dole w szarzyźnie i mgłę—Ocean Lodowaty. Mała tabliczka z napisem „N” — wskazuje ironicznie strzałką w kierunku oceanu. Czy to zachęta, czy przestroga?

Naprawdę ani kroku dalej w Europie. Tylko ta szara, bezbrzeżna przestrzeń w dole przed nami, tylko ta strzałka na tablicy, i... tylko mała, buraczkowa knajpa.

Bardzo przyjemnie napić się kawy, gdy się jest tak bardzo zziębniętym i wysmaganym przez wiatr, ale...

Nic nie pomogą nasze naiwne „ale”...

Robinson i Piętaszek kupiliby sobie na dole fińskich noży, tu przychodziliby się stołować 3 razy dziennie — a w café Nordcap — chyba dostaliby tani pokój u gospodyni....



Ogólny widok
zatoeki z wysokości
N o r d c a p u

Do uczestników naszego Konkursu

Wielka ilość odpowiedzi, które bez przerwy napływają na nasz Konkurs, dowodzi, że zainteresował on żywo naszych prenumeratorów, a liczne listy z życzliwymi słowami uznania dla Redakcji z okazji Konkursu są dla nas miłą nagrodą za podjęty trud.

Komitet Konkursowy zbiera się dwa razy tygodniowo dla wpisywania na listę konkursową przybywających uczestników. Jak już pisaliśmy w numerze poprzednim, na słuszne życzenie naszych prenumeratorów zagranicznych termin ostateczny przyjmowania odpowiedzi na Konkurs ustaliliśmy na dzień 7 października r. b., aby dać możność naszym prenumeratorom z zagranicy wzięcia udziału w Konkursie.

Już dzisiaj zarysowuje się w odpowiedziach otrzymanych przez Redakcję pewna „lista idealna” — ale czy ta właśnie zwycięży, przesądzać naturalnie nie możemy, dopóki nie wpłynie ostatnia odpowiedź konkursowa. Każdy głos bowiem może przyczynić się do innego ukształtowania listy, która będzie rzeczywicie wyrazem plebiscytowej opinii ogółu naszych prenumeratorów.

Jak zaznaczyliśmy w numerach 35, 36, 37 i 38 „Świata”, w konkursie brać mogą udział

WYŁĄCZNIE PRENUMERATORZY „ŚWIATA”

a zatem odpowiedzi, które napłynęły od naszych CZYTELNIKÓW, nie będących prenumeratorami „Świata”, odkładamy narazie do chwili, kiedy zaprenumerują „Świat” przynajmniej na jeden miesiąc, t. j. na październik 1935 r. Po uskutecznieniu tej formalności, odpowiedzi naszych nowych prenumeratorów wciąż będą natychmiast na listę uczestników Konkursu.

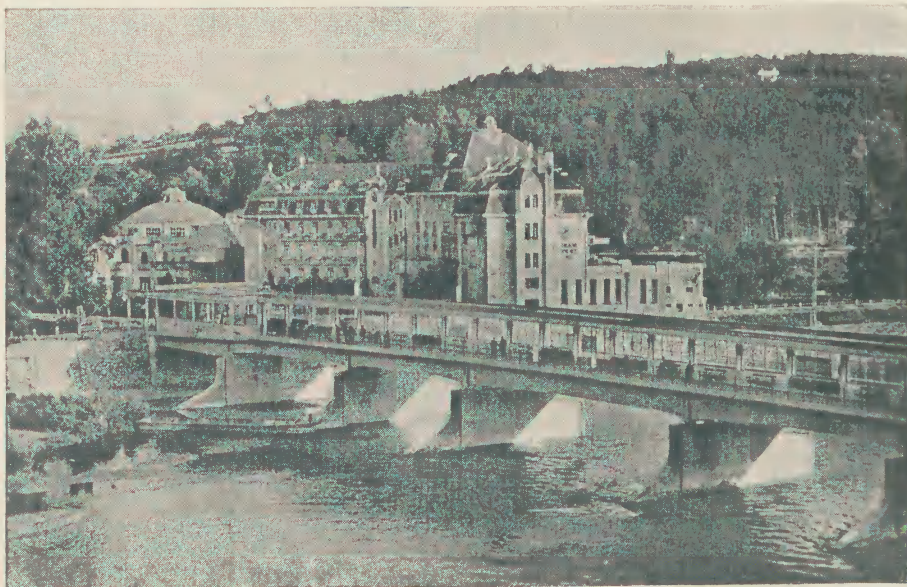
Wobec wielkiej ilości uczestników Konkursu, jest rzeczą prawie pewną, że okaże się pewna ilość odpowiedzi jednobrzmiących, zgodnych z „listą idealną” plebiscytu. Jak podane było w warunkach konkursu w poprzednich numerach „Świata” — rozstrzygać będzie w takim razie o pierwszym miejscu długość prenumeraty. Długość nie wstecz, rzecz jasna, ale — naprzód.

Pierwsze miejsce osiągnie zatem prenumerator, który wykaże najdalej w przyszłość sięgającą prenumeratę.

W razie jednakowej odpowiedzi i na jednakowy czas opłaconej prenumeraty — rozstrzygać będzie, jak pisaliśmy, data stempla pocztowego.

Piszczany i Dom Polski „Excelsior Polska Strzecha”

Piszczany, najwyśmienitsze uzdrowisko przeciw schorzeniom reumatycznym, artretyzmowi, ischiasowi, obwodowi nerwowemu, zaburzeń uwiadu pacierzowego, newralgii, przewlekłych stanów zapalnych narządów kobiecych, dny, chorób skóry i mechanicznych uraz po złamaniach i zwichnięciach poleca czytelnikom tygodnika „Świat” tanie ryczałtowe kuracje w Domu Polskim lub też innych domach, należących do gen. dyrekcji uzdrowiska Piszczany. Szczegóły w administracji tygodnika „Świat”.



Ogólny widok z mostu na wspaniały hotel „Thermia Palace”

Łazienki i dwór Napoleona



MODA DLA MILJONEREK

Moja znajoma mówi:

— Więc skończyłyśmy poprzednim razem naszą rozmowę na tem, że dzisiaj chociaż platonicznie pomówimy o modzie dla milionerek. Jednak wciąż jeszcze myślę, że pani trochę przesadza. Przecież na przykład tailleur będzie wyglądał podobnie, czy dla damy najwytworniejszej, czy dla średniozamożnej, czy dla kobiety pracującej. Nie mam racji?

„Niezupełnie. Tailleur, jak żadna może inna część garderoby, zdradza od razu swe pochodzenie — krojem. Tu nie pomoże osobisty szyk klientki, ratujący często „kreacje” podrzędnej krawcowej. Tailleur musi być zrobiony pierwszorzędnie. Na to, żeby miał najwyższą klasę, musi mieć poza tem jakąś pointe’ę oryginalności — akurat w samą miarę — która go wyróżni z pośród wielu innych, a nie będzie ani krzykliwa, ani w złym guście. Zresztą i tu są odchylenia. Inny jest tailleur na ranną przechadzkę — skromny klasyczny (laik by powiedział: niepozorny) — obejrzy się za nim jednak rzeczywisty znawca. Inny na wycieczki samochodowe — gdy pani siada do kierownicy swego sportowego auta. Wtedy tailleur i płaszcz harmonizować będą z karoserją — a jaskrawe nawet kolory i przybrania uzależnione będą tylko od humoru. Nawet ekstrawagancja jest tu najzupełniej dopuszczalna. Jeżeli jednak zamiast krótkiej wycieczki week-endowej lub stukilometrowego spaceru dama wybiera się w dalszą podróż — wtedy wszelka pstrokaczność musi być usunięta: długa jazda, kurz, deszcz, praca przy aucie — nakazują kolory raczej neutralne, samodzielne szare i piaskowe”.

— To wszystko odnosi się do ilości posiadanych przez milionerkę tailleurów, ale mi jeszcze nic nie mówi o ich odrębności.

„Poza wspomnianym już krojem i tem, co francuzi nazywają „cachet”, a co jest dziełem wybitnego krawca — bywają pewne wyrafinowania, które napewno małej krawcowej nie przyjdą nawet na myśl. Więc np. jeden z paryskich domów modeli lansuje na najbliższy sezon kostiumy sportowe, których sweter zrobiony jest ręcznie na drutach z nitek, wyciągniętych z tkaniny wełnianej, tej samej, z której skrajana jest spódnica! Po-

wstaje stąd idealna identyczność koloru, przy bardzo dyskretnym efekcie różnicy tkaniny — całość naprawdę najwyższej klasy. Że trzeba namozolić się i naślepić, aby owe nitki na sweter najpierw wypruć, a potem dopiero z nich zrobić sweter — cóż to szkodzi? Koszt nie gra tutaj roli. Właśnie taka rozrzutność w robocie znakomicie chroni dany model przed niebezpieczeństwem skopjowania. No, i daje dużo dodatkowej pracy zręcznym rączkom wykonawczyń... To też nie jest wzgląd do pogardzenia”.

— Zaczęłyśmy tak od tailleuru, bo myślałam, że na tem polu panią zgnębię. Ale się nie udało. Zato jest druga dziedzina, gdzie napewno skala między milionerką a nami jest niewielka: bielizna i dessous. Teraz, kiedy większość kobiet nosi pod suknią tak niewiele, i to niepraktyczną bieliznę jedwabną, zamiast dawnych solidnych batystów — niema chyba już tak wielkich różnic?

„Niestety... Właśnie wczoraj oglądałam model tego, co się w Paryżu nazywa „gaine” — t. j. całości — pasa wraz z soutien-gorge’em. Taka drobnostka kosztuje tam w dobrej firmie od 500 franków... wzwyż. I sprawia się ją co miesiąc, aby była „w formie”. Zwykły kostiumik kąpielowy, idealnie zrobiony naprawdę i świetnie poprawiający figurę — zaczyna się od tej samej ceny. Koszula nocna z crêpe satin lub najlepszego voile triple — bywa tak kosztowna, jak balowa suknia, bo wcale od balowej sukni nie skromniejsza — więc cena paru tysięcy franków nikogo nie dziwi. Lanvin, która jest naprawdę artystką, szukała w tym roku natchnienia w greckich rzeźbach dla serji cudownych dzieł — więciu dezabilów, które nazwała imionami dziewięciu muz. Może mi pani wymieni te z pośród naszych znajomych w Warszawie, któreby mogły sobie na taką „serję” pozwolić”.

— Widzę, że i w dziedzinie intymnych szczegółów toaletowych wymagania milionerek są strasznie wysokie. Więc jak pani wreszcie określi różnice istotne, które w gronie kobiet ubranych dobrze ujawnią damę „kategorji pierwszej”?

„Może lepiej dam pani szereg przykładów. Są rzeczy, które Pa-



„Skromniutki” tailleur z niebieskiej puszystej wełny, podbity popielicami, farbowanemi na granatowo. Granatowe skórzane rękawiczki i identyczne buciki dopełniają całości.

ryż bardzo na ten sezon lansuje, a których wystrzegać się powinna każda kobieta, pozbawiona samochodu i nie dążąca do miana najwytworniejszej damy. Więc na przykład Lanvin, mistrzyni fantazji, propaguje na ten sezon pewne pomysły zwracające uwagę i nie każdej kobiecie dostępne. Niektóre jej tailleury mają jupe culotte. Czyż trzeba dodawać, że kto ma tailleur jeden — musi oczywiście z tej fantazji zrezygnować? Lanvin przybiera żakiety niektórych kostiumów w sposób nieco ekstrawagancki: dziwaczne guzikami, albo — ostatni krzyk — szeregiem czerkieskich ładownic do naboi. Naturalnie wytworna dama naboi nosiła w tem nie będzie. — Ale gdy uzupełni taki strój czemś na głowie w rodzaju papacy — wygląda jak carski adjutant, i już się bez własnego auta nie może w tem pokazać na ulicy. Ta sama Lanvin ubiera swe klientki na popołudnie w złote i srebrne lamy. Czy skromna popołudniowa herbatka w



Wieczorny płaszcz z czarnego aksamitu, podbity gronostajami, krawat z gronostai. Kapelusz czarny aksamitny, przybrany białymi paradizami.

trzy-pokojowym warszawskim mieszkanku byłaby odpowiednim terenem dla takiej wspaniałości — śmiem wątpić".

— Zgoda — co do sukien popołudniowych, ale przecież na oryginalność wieczorowej toalety chyba każda z nas może sobie pozwolić?

„To zależy ...od oryginalności. Cóż powiedzieć o pomysłach kilku firm (wśród nich Lanvin, Schiaparelli, Marcel Rochas i inne), które uznały w tym sezonie, że majteczki, widoczne z pod sukni balowej, będą jej dodawały uroku”...

— Jakto, suknia jest taka krótka?

„Nie — majteczki są takie długie. Wyglądają, jak dwie wąskie atłasowe rury i dochodzą prawie do kostki. Spódnica rozcięta do kolan — pozwala podziwiać pomysłowość krawcowej... i odwagę klientki. Bo ładne to jednak nie jest. Mimo to kilka kobiet ekscentrycz-

nych ubierze się tak napewno. Ale wychodząc na bal, przejdą conajwyżej przez szerokość chodnika, znikną w ciepłym wnętrzu swej limuzyny — i nie dadzą widowiska tłumowi. A czy pani sobie wyobraża efekt podobnego stroju... w tramwaju Zero albo M?”

— Czy inni twórcy mody też lansują takie dziwactwa?

„Czemu nie? Nie mają żadnej potrzeby krępować się czemkolwiek. Ich klientki mogą sobie pozwolić na oryginalność — choćby dlatego, że kładą daną suknię parę razy — i na tem koniec. Czasem bywają jednak pomysły niepraktyczne, ale bardzo piękne. Np. Patou każe w tym sezonie do toalet wieczorowych nosić wieczorowe płaszcze aksamitne — z *trenem*. Tak, proszę pani, z *trenem*. Że to ma „allure” istic królewską, gdy się po schodach Opery wchodzi do loży, wlokąc za sobą taką wspaniałość — nie ulega kwestji. Ale czy warszawska taksówka, pełna błota i nieopisanego brudu, ciasna i zapluskwiona — byłaby wehikułem odpowiednim dla takiej wytwornej toalety? Widzi pani na konkretnych przykładach, że moja „diagnoza samochodowa” jest naprawdę podstawą i warunkiem nieodzownym, od którego dopiero zaczyna się możliwość elegancji najwyższej klasy.

A cóż powiem o niektórych modelach Marcel Rochas: jego suknie wieczorowe bywają w tym roku rozcięte z boku powyżej kolan, albo mają dół sukni z przodu wycięty w kwadrat, ukazujący nogi do kolan. Nie jest to ładne. Jest.. „nowe”. Dama, która sobie sprawi suknię tak oryginalną, musi przecież mieć kilka albo kilkanaście innych”.

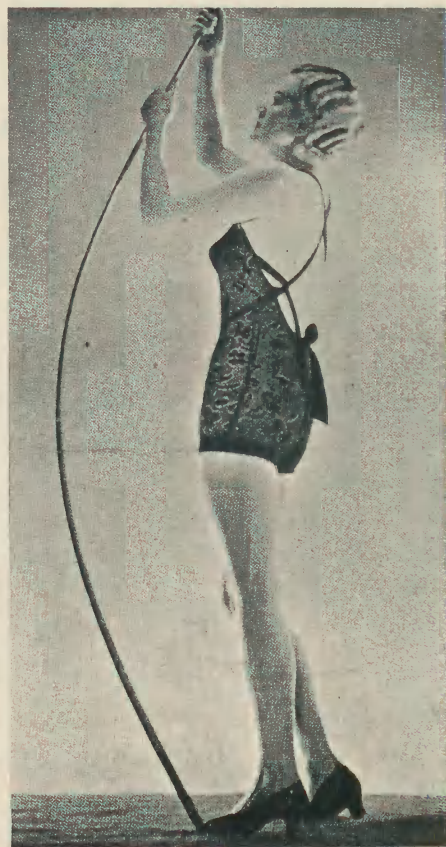
— A futra?

„Z futrami jest istna orgja. Maggy Rouff stworzyła prześliczny model popołudniowego płaszcza aksamitnego, podbitego — prawdziwymi gronostajami. Nawet podróżne, takie sobie zwykłe samodziałowe, płaszcze, podbija się — popielicami. Zwykły płaszczyk od deszczu też otrzymuje cenną futrzaną podszewkę. A cape wieczorowa aksamitna podbita jest nurkami. Albo się ją robi całą z soboli. Albo ze srebrnych lisów — (kilku, rzecz jasna) — albo z powracających do mody po długim niewidzeniu, uroczych, szalenie drogich i szalenie niepraktycznych szenszyli. To są futra damy wytwornej. I żadne farbowane króliki ich, proszę pani, nie zastąpią. Z tem się musimy pogodzić”.

— Więc futer farbowanych milionerka wcale nie nosi?

„Przeciwnie. Jednym z paradoksów — i to nie najszcześniejszych — mody nadchodzącej jest farbowanie *futer szlachetnych* na kolory *najbardziej nieprawdopodobne*. Więc do popołudniowej sukni z fioletowego satyn będzie cape z brajstzwanców farbowanych na fioletowo. Do granatowej wełnianej spódnicy sportowej — płaszcz tróćwierciowy z małą farbowanych ściśle „pod kolor”. Do toalety balowej ze srebrnej lamy — wspaniała cape z różowego askamitu, długa do samej ziemi — ozdobiona kołnierzem z lisów (białych) farbowanych dokładnie na ten sam odcień różowy. Są to, według mnie błędy smaku, wyrosłe na gruncie poszukiwania oryginalności *coûte que coûte*. Może właśnie będzie to najjaskrawszym przykładem, na co w zakresie mody pozwolić sobie może tylko dama nie licząca się z niczem: jutro ta moda przejdzie, farbowane mały i brajstzwance będą śmieszne — więc je wyrzuci, podaruje ubogiej krewnej, lub każe z nich zrobić poduszkę dla pieska. Kobieta, która choć trochę liczy się z pieniędzmi, unikać musi tych nadmiernych fantazji, jak ognia”.

— Cóż pani jeszcze oznajmi bez-



Taki kostium kąpielowy, model firmy Charmis, kosztuje 500 fr.

nadziejnego dla nas — kobiet zwykłych?

„Jeszcze parę szczegółów. Więc na przykład niezwykle modne są wszelkie wieczorowe przybrania głowy. Robi się to z egretek, paradizów, kwiatów, torsad, aksamitu i lamy, ze złotych siatek, a także ze splotów zrobionych z włosów koloru klientki i jedwabiu koloru jej sukni. Efekt jest nadzwyczajny. Ale w tych wszystkich czasach nieprzeciętnie artystycznych cudach trzeba się mieć gdzie pokazać. Typ londyńskich czy paryskich wytwornych restauracji, gdzie panowie są conajmniej w smokingach, a panie w wieczorowych toaletach — u nas nie istnieje. Na zatłoczony dancing, gdzie przy sąsiednim stole można spotkać własną pokojówkę — nikt się zbyt wytwornie w Polsce nie ubiera. Do teatru chodzi się u nas „w czym ta miał” — nie wyłączając szarych marynarek i pulloverów sportowych. (Lepiej iść tak, niż nie pójść wcale)“.

— A co pani powie o głowie i o nogach? O obuwiu i o kapeluszach? Czy także są tam rzeczy dla szerszych sfer niedostępne?

„Jakżeby inaczej. Taki Worth do kostiumów tailleur w stylu rosyjskim proponuje swym klientkom zamszowe buty z cholewami!“

— A kapelusze?

„O, z kapeluszymi sprawa jest specjalnie drażliwa. Wszystkie dziwactwa krótkotrwałe, mijające dosłownie po paru dniach, zostawimy właśnie tym damom, które się stroją. I te z dziwnych piórek klejone cudaczne „głowy cukru“. I te z głupia frant „piotrusie“, i te aureole złociste na tyle głowy, i te na wzorach włoskiego renesansu oparte kombinacje aksamitnego toczka ze złotą siatką i olbrzymim fiokiem z brajtszwanców na czubku...“

— Słowem — przyznaje pani prawo do fantazji tylko tym i tak już najszcześliwszym, najbogatszym? Reszta ma być „szara“. Dlaczego? Czyż ekstrawagancja tamtych, oprócz drażnienia uboższych swym rażącym zbytkiem, może mieć jakieś cechy dodatnie?

„Każdy wykuint jest sztuką. Nawet wykuint kulinarny. A sztuka jest ozdobą starej kultury. Gdybyśmy wszystkie — i te milionerki z nami — zaczęły chodzić w workach, łapciach i chustkach na głowie, ładnieby świat wyglądał... nawet pod względem gospodarczym“.

— Przesada z temi korzyściami gospodarczymi...

Puder „Lady”
parfumée au Chat Noir

jest zupełnie nieszkodliwy dla cery, usuwa tak przykry połysk skóry, dobrze przylega i, harmonizując z każdą cerą, nadaje jej świeży, młodzieńczy wygląd.



„Tak? To proszę: Londyn w ostatnich latach na serio zabrał się do konkutowania z Paryżem na polu mody. Argielki zbyt wiele wywoziły za kanał La Manche — ciężkich funtów, przywożąc z powrotem tylko... lekkie paryskie toalety. Albion zabrał się energicznie do rzeczy. Padło hasło: „Buy British“ — (kupuj wyroby angielskie). I znalazło oddźwięk“.

— Cóż z tego?

„Drobiazg. Oto w roku 1931 w przemyśle luksusowym i w modzie pracowało w Londynie 21 tysięcy osób. Dziś, po czterech latach po-

ważnych wysiłków poważnych ludzi nad tak pozornie *blahemi* sprawami — w Londynie pracuje już dla mody i kobiecego luksusu blisko 60 tysięcy osób, a obrót tych firm osiąga rocznie 100 milionów funtów! Import artykułów zbytku z Paryża spadł o 70 procent“.

— To może rzeczywiście luksus nie należałoby poteniać?

„Jak pani uważa. U nas jest on w każdym razie mocno niepopularny. Bo polacy, jak słusznie zauważył Goetel, „nie lubią dobrobytu“.

Lustucru.

SZKOŁA SZTUK PIĘKNYCH

Blanki Mercère

Istniejąca na mocy rozporządzenia Ministerstwa W. R. i O. P.

MALARSTWO, RZEŻBA, FRESK, GRAFIKA.

Nauki teoretyczne. Specjalny kurs dla młodzieży szkolnej. Internat dla przyjezdnych

Hoża 59, tel. 9-10-80

Wytworne krawiectwo męskie

H. LIPSZYC

Gmach Opery — Pod Filarami



ŚWIAT TEATRU



~~~~~  
Piaskowska  
(Djana) i  
Grabowski  
~~~~~

Fot. J. Malarski

TEATR NOWY. „Powrót Mamy“, komedia w 3-ach aktach Marji Jasnorzewskiej. Reżyserja Z. Ziemińskiego. Dekoracje St. Jarockiego.

Kiedy na scenie spotykamy Papę i syna przy odprawianiu załatów, to mimo woli nasuwa się pytanie: czem się różnią ich donżuanerje?

Dwa pokolenia w załatach — to jakby nieco pływająco ujęty problemat — *starzy i młodzi*. Takie pytania pozornie mogłaby wywoływać komedia Jasnorzewskiej. Możeby na tem pogłębieniu sztuka zyskała — ale autorka uchyliła się od tego zagadnienia. Rezonujący papa — na temat, jak powinien zachowywać się dżentelmen wobec kobiety, o którą się ubiega, krytykując nawet ostro wątpliwe metody syna — nie może być przekonujący, z chwilą gdy widzimy jego totumfacko-głupie zachowanie się, wówczas gdy on sam znajduje się „in flagranti“. Dżentelmen przede wszystkim musi mieć łut odwagi. Jasnorzewska nie chciała ani pogłębiania zagadnienia, ani zaostreżania konfliktu. Zamiast konfliktu dała nam *same ujemne typy!* Taką galerję figur ujemnych ukazała nam autorka — ni to jako zbiór do wyszydzenia, ni to jako exemplum czasu. O to musimy mieć do niej żal. Bo dobre zarysowanie każdej z postaci w momencie, gdy zaczyna działać; zbudowanie wielu scen z niewątpliwym nerwem scenicznym dowodziło, że gdyby autorka nie ograniczyła się do szkiców, które szybko zostały „puszczone“ i zostawione samopas z aforyzmową gadatliwością, to mogliśmy byli zubożać polski repertuar komedjowy o dobrą, pełną werwy komedję.

Jedyną postacią nie ujemną jest Matka — dla niej autorka znajduje tony ciepła. Widzimy przynajmniej jedną kobietę normalną, niepozabawioną wdzięku, posiadającą zdrowy sąd i życiowy charak-

ter. Ujemnym byłoby może jedno — że tak wychowała swe dzieci. Zarówno bowiem syn jak i córka mają być ultra współcześni, a więc stali się wyznawcami



Zabczyńska i Ziemiński

hasał: wygoda i zadowolenie. Oczywiście po tej linii idą, aż do cynizmu. Papa — *balwan major* zaleca się do kobiety rzekomo życiowo mądrej. Chwyta ona starszego pana nietyło do swej alkowy, ile do cnotliwego ołtarza. Pragnie z nim mieć dom. Na to trzeba ten dom odebrać Matce. Wówczas w obronie rzekomo Matki a w istocie Domu — jako instytucji — występuje *balwan-minor* — syn. Syn, którego akcja w sztuce sprowadza się do dyktowania siostrze grubiańskich listów miłosnych do „uganiających“ się za młodzieńcem heter z towarzystwa. Do robienia zawodu zamówionym „d a m o m“ i do prowokatorskiego

wciągnięcia w dezabil łowiącej ojca „demonicznej“ Djany. Milczał młodzieniec, dopóki papa „polował w innym rewirze“, jak określa mniej więcej rodzicielskie zrywy — ale skoro papa stał się zwierzyzną, a potulna łania wkroczyła w domowe progi i stała się... Djana, święty ogień oburzenia kazał młodzieniaszkowi stać się katonem... nieprzebiegającym w środkach.

Upił dziewicę, kazał się jej rozebrać i w tym dessous odsłonił ją papie. Demoniczna spryciara — zaborcza Djana, okazała się poprostu „słabą głową“ — po trzech kieliszkach koniaku rozbiera się zupełnie altruistycznie.

Złą jest metodą dawanie autorom rad — ale gdyby nie było tych trzech gólniętych kieliszków koniaku, jako przyczyny — ileżby ciekawych sytuacji z tego samego miłosnego prowokatorstwa można było stworzyć.

Autorka świadomie czy też przez pewną nonszalancję pisarską nie poszła po drodze kontrastów, konfliktów — upewniła nas, że ma nerw sceniczny, że umie stawiać postacie — aby im później pozwolić hasać luzem. W komedji Jasnorzewskiej jest wiele pierwiastków, sytuacji, które prosiły się o wypolerowanie, o pieczołowitość — tego im autorka niestety odmówiła. Staranna praca reżyserska p. Ziemińskiego była widoczna. Zresztą młody ten artysta należy do zdolniejszych reżyserów i aktorów. Tylko... tylko obecnie uzyskał nanowo prawo obywatelstwa system jednoczesnego reżyserowania i grania. To na czemś musi się zemścić. Było widoczne, że w trosce o zespół Ziemiński nie miał czasu na wyretuszowanie wielu swych szczegółów. Stąd niewątpliwie płynęła jego nierówność, nadmierna krzykliwość i ciągle denerwujący śmiech w momentach, gdy miała być „żywa akcja“. Zbyt dobry i zdolny to artysta, by sam tego nie spostrzegł na następnych przedstawieniach.

Gellówna (Matka), Ziemiński (Adriaś)



Na premierze reżyser wygrywał kosztem aktora.

Na pierwszy plan zespołu wybiła się Gellówna: miała umiar, wdzięk, naturalność. Jej „Matka” była bez zarzutu i koncentrowała na sobie sympatię widzów — o co zdaje się autorce chodziło. W roli „Djany”, wyrachowanej łowczyni domu i zamożnego męża, debiutowała na scenach T. K. K. T. Janina Piaskowska. Był to jeszcze jeden przykład niewłaściwego obsadzania młodych artystek. Przy-

Fot. J. Malarski
H. Kamińska i Żukowski — nowocześni narzeczeni



Do wiadomości

Szanownej Klienteli podajemy, że nasze preparaty kosmetyczno-lekarskie znajdują się w sprzedaży wyłącznie w oryginalnym opakowaniu. Doktora Lustra puder higieniczny dla cery tłustej i puder egzotyczny dla cery suchej i normalnej, jak również kremy oraz proszek marmurowy ze względów higienicznych nie były i nadal nie są sprzedawane na wagę.

„MIRACULUM”

D-RA LUSTRA PREPARATY
LEKARSKO-KOSMETYCZNE

kładów takich w ubiegłym sezonie mieliśmy kilka. Piaskowska ma warunki do ról głębszych, wymagających inteligencji, umiejętności cieniowania. Nagle kazano jej ukazać się w roli ni to hetery, ni to wydry! To nie jest aktorka do ról kokocih, gdzie argumentem ma być dessous lub uwidoczniona noga od małego palca aż do biodra. Ze swej niewłaściwej roli Piaskowska wybrnęła zupełnie dobrze, miała umiar (ale ten umiar szkodził roli, według której papę - zalotnika winna była olśniewać) wydobyła tony

głębsze i wykazała swe zdolności. Ale — takie obsadzanie — to krzywda dla aktorki i autora. Grabowski — poszedł za nadto po linii groteski, choć widoczne było, jak trzymał się w cuglach, ale mimo to czuło się wysiłek tego zdolnego artysty. Doskonały epizod stworzyła Żabczyńska. Kamińska wykazała naturalność i umiejętność dialogu, Żukowski jako głupawy sportowiec dobrze dociągnął się do całego zespołu.

L. Ch.

JESZCZE JEDNA

UCZESTNICZKA MILJONA

Wśród ulubieńców Fortuny, którzy uczestniczą w ostatnim podziale głównej wygranej IV-ej klasy 33-ej Loterii Państwowej, t. j. miliona zł., znajduje się siostra Marta Bark z Zakładu Diakonisek w Poznaniu (Grunwaldzka 49). W chwili wylosowywania szczęśliwego N-ru 163490, siostra Marta przebywała na delegacji prowincjonalnej, gdzie ją wieść o nagłym bogactwie zastała. Właśnie ta nagłość jest przyczyną, że siostra Marta nie jest w stanie określić



swych zamiarów na przyszłość.

W każdym razie nie omieszką zaopatrzyć się w los do 34-ej Loterii. Daje ona bowiem, prócz zwykłych szans, z miljonem na czele, jeszcze nowowprowadzone wygrane, wylosowywane każdego dnia ciągnięcia, niezależnie od normalnych. Tych wygranych dziennych jest w I-ej klasie 4, odpowiadających czterem dniom ciągnięcia. Wysokość każdej z nich w pierwszych trzech klasach wynosi 25.000, zaś w czwartej klasie — 30.000 zł.

MIĘDZY SCYLLĄ A CHARYBDĄ

(morski feljeton retrospektywny)

Z jednej strony strone, spalone słońcem wybrzeża kamienistej Kalabrii, z drugiej zielone zbocza Sycylii, z królującą w chmurach Etną. Po środku biało-czarny smukły motorowiec, pędzący całą siłą swych 12.500 koni mechanicznych w wąską gardziel Messyńskiej cieśniny.

A oto wiry Charybdy i stroma skała Scylli — przysłowiowe i historyczne punkty. Któż tedy od zarania dziejów nie płynął?!...

Obecnie jednak m/s „Piłsudski” płynie śmiało, prowadzony pewną dłońią kapitana Stankiewicza i jego oficerów. Choć i na jego pokładzie możnaby przysłowie o Charybdzie i Scylli zastosować. I jak jeszcze...

Bo czyż nie między Charybdą a Scyllą był zacny kapelan okrętowy ks. prałat Hilchen, — kiedy mimo dyskretnej prośby, żeby panie na nabożeństwo poranne wdziały strój przyzwoity, — ujrzał wśród obecnych „owieczek” swej morskiej parafji kilka niebardzo estetycznych pyjam?

I czyż nie między Charybdą a Scyllą był ów oficer, który stojąc na trapie w Wenecji, wysłuchać musiał inwektyw i zarzutów tłumy pasażerów, tłoczącego się bez powodu i z zapalem godnym lepszej sprawy na tenże trap, jeszcze nie założony należycie i nie mogący ich przyjąć ze względu na niezafatwione formalności portowo - celne?

I czyż nie między Charybdą a Scyllą znaleźli się ci kulturalniejsi pasażerowie, którzy podziwiając piękno, takt i spokój Wenecjanek, zmuszeni byli skonstatować, że niektóre pasażerki m/s „Piłsudski” mogą z mieszkankami stolicy dorównać rywalizować tylko urodą?

I czyż nie między Charybdą a Scyllą znalazł się ów poważny wiekiem obywatel, do którego pewna pasażerka - artystka rzekła w obliczu tłumów: „Ty, stary draniu, postaw mi szampana”.

I czyż nie między Charybdą a Scyllą znalazł się w podwójnym sensie sam władca m/s „Piłsudski”, kapitan Stankiewicz, kiedy ujrzał przy śniadaniu pania, wprawdzie w towarzystwie własnego męża, ale zato mającą za cały strój parę spodenek i przyrząd zwany we Francji



Powyższa fotografia przedstawia stoisko, urządzone na Wystawie Drogowej przez polski przemysł cementowy. Modele, wykresy i fotografie ilustrują sposób wyrobu cementu, budowę dróg betonowych i znaczenie tych dróg dla ogólnego gospodarstwa państwowego.

„soutien - gorge”, a w zachodnich dzielnicach Polski poprostu... biustonozem!?

* * *

Te małe niedociągnięcia „personalne” nie umniejszają jednak w niczem wartości okrętu i rzetelnego trudu jego twórców. Polacy i Włosi w zgodnym wysiłku stworzyli dzieło wielkie i pożyteczne. „Piłsudski” i „Batory” to okręty na miarę europejską, nie ustępujące w niczem nowoczesnym, największym motorowcom, a pod względem komfortu odpowiednich klas przewyższające je poniekąd. Niedarmo „ojciec okrętu”, popularny i sympatyczny dyrektor stoczni Monfalcone — kpt. Cosulich, oświadczył z dumą: „Jest to najlepszy statek, jaki kiedykolwiek zbudowałem...”

Reszta należy do czasu i... wychowania. Trzeba wychować w Polsce pokolenie prawdziwych pasażerów okrętowych. Jest to rzecz nietrudna, bo widzieliśmy już takich na pokładzie „Piłsudskiego”. Oni właśnie mogą w tem pomóc, pouczając, zawstydzając... Widzieliśmy stałych bywalców okrętowych, uczestników licznych podróży, którym było wyraźnie nieprzyjemnie na widok pań paradujących po Wenecji w marynarskich strojach (ku wielkiej ucieście miejscowej gawiedzi), albo w hulaśliwej atmosferze dancingo - kabaretowej, jaka wytworzyła się po balu. Nie znaczy to przecież wcale, że na okręcie trzeba chodzić z miną strapionego sensata. Ale tam, gdzie na ograniczonej przestrzeni przebywa około

tysiąca osób, trzeba umieć zachować się kulturalnie... choć właśnie wesoło. Bo wesołość wcale nie koliduje z kulturą.

* * *

Słońce miało zamiar skryć się za potężnym masywem Góry Pielgrzymów, kiedy m/s „Piłsudski”, minawszy smutkiem tchnące wulkaniczne wyspy Liparyjskie, zawijał do Palermo. Marcia Reale, Giovinezza i Polski Hymn Narodowy rozległy się z pokładu... Tłum na wybrzeżu wiwatował, bił oklaski. Wcisnięty między dwa potężne samochody, mały, zaprzęgnięty w osiołka wózek toczył się spokojnie na spotkanie okrętu. Karabinierzy w trójkątnych kapeluszach salutowali klasycznym ruchem, przypominającym zasłanianie oczu od słońca. Na rogu ocienionej platanami ulicy Włoch, czarny jak murzyn, zachwalał soczyste granaty. Śmiała się bez troski trójka dziewcząt, ze stopni zatrzymanego autobusu zerkając ku okrętowi...

— A ja panu mówię, że nie jestem w wojsku i nie będę pana słuchał, — rozlega się naraz gniewny głos jednego z polskich pasażerów, któremu steward pokładowy zwrócił uwagę, że stać w przejściu nie wolno.

A no, co robić? Trzeba jeszcze trochę poczekać i popracować. Przecież wielu jest już w Polsce obywateli, którzy rozumieją, że nie trzeba dyscypliny wojskowej, aby być cywilizowanym człowiekiem...

Jim Poker.

Popularny
COGNAC
MONTBEL
ZADAĆ WSZĘDZIE

Fabryka Trykotaży
Jan Matuszewski
102 Marzalkowska 154
33 Chmielna 40 Nowy Świat

PRZECZYSZCZANIE MEBLI
W. WĘGIELEK
i S-KA
WARSZAWA
TRĘBACKA 1
TEL. 240-45 240-46

**WEŁNY; WŁOCZKI
ZNANEJ
MARKI**



**NAJLEPSZE
i
NAJTANSZE**

UNION TEXTILE S. A.

DO NABYCIA WSZĘDZIE

Rozmowa z oficerem-komunistą Na szlaku Moskwa — Paryż

Pociąg pośpieszny Warszawa — Kraków rozbrzmiewa wesołym gwarem: to jakaś wycieczka małopolskich akademików, syta stołecznych wrażeń, powraca do domu. Przeciskam się przez tłum odprowadzających, zaglądając w oczy wszystkim starszym panom.

Dziś w nocy — natrętny terkot telefonu: „Hallo, tu redakcja „Świata”. O siódmej rano, w wagonie wiedeńskim, zrobi Pani wywiad z Sadoul'em. Wie Pani, Sadoul...

— Jak wygląda? — krzyczę rozpaczliwie do tubki.

— Starszy, niski pan, — brzmi odpowiedź. Poczem: suchy trzask w telefonie. Rozmowa skończona.

Sadoul? Wiem, oczywiście... Świetny niegdyś oficer francuski, wielokrotnie odznaczony za waleczność, po wojnie — entuzjasta bolszewizmu. Skazany zaocznie na śmierć przez Trybunał Wojskowy w Paryżu, wraca do kraju, uzyskując rehabilitację, poczem zostaje we Francji, jako korespondent „Izwestij”. Stały pasażer na szlaku Paryż — Moskwa...

Jak go tu znaleźć? Jest! W przedziale 2-ej klasy starszy pan z monokłem, oczywiście cudzoziemiec, czyta „Matin'a”, — Monsieur Sadoul?

— Na, madam, se pa mua, — odpowiada „cudzoziemiec” autentycznym akcentem spod Kiernozi.

Przed wagonem — smagły grubas, typowy południowiec, ęmi cygaro.

— Monsieur Sadoul?

— Oui, oui, — woła grubas uradowany; — moi Istamboul!

I w tej właśnie chwili, gdy — wbrew przysłowiu — zwątpiłam o celowości ранego wstawania, podszedł do mnie młody, wysoki, elegancki blondyn: — C'est moi, Sadoul...

Tak się zaczął ów wywiad, a raczej rozmowa dwojga dziennikarzy pośród nawały pasażerów i sapania lokomotyw.

— Kiedy znów wojna? — rzucam pytanie.

— Mam nadzieję, że nieprędko; my, Francuzi, napewno jej nie chcemy.

— A Rosja? Podobno twierdził pan, że należy spodziewać się wojny przed upływem ośmiu miesięcy?

— Więc o to chodzi, — woła Sadoul z wesołym oburzeniem. — Przybiegła tu pani po sensacyjny „mankiet” do artykułu, np. „Stalin oświadczył Sadoul'owi, że Rosja dąży do wojny”. Przyznaję, że byłby to niezgorszy efekt dziennikarski. Na nieszczęście, lub raczej, na szczęście, Sowiety są krajem par excellence pacyfistycznym.

— Wbrew maksymie, że największym wrogiem pokoju jest państwo w stadium rewolucji?

— Rosja wyszła już z tego stadium, — odpowiada Sadoul. — To, co się tam teraz odbywa — to nieprawdopodobna wręcz praca nad uprzemysłowieniem kraju. Do wojny dążą państwa, szukające ujścia dla nadmiaru swej ludności lub produkcji. Otóż wytwórczość rosyjska zaspakaja zaledwie jedną dziesiątą potrzeb kraju, zaś ludności jest tam zamało. Czy pani wie, że rząd rosyjski popiera gorliwie rozrodczość i zwalcza plagę poronień? Tam właśnie — potrzeba ludzi. Co się zaś tyczy wojny, Rosja nie wierzy w nią — nie pragnie jej zgoła, aczkolwiek jest do niej świetnie przygotowana — jak może żadne inne państwo na świecie.

— Czy utrzymuje pan stosunki ze swymi przyjaciółmi niemieckimi?

— Oczywiście, chociaż jest to obecnie bardzo utrudnione. Wierzę, jednak, że dzięki kryzysowi ekonomicznemu, w blizkiej już przyszłości czynniki lewicowe dojdą tam do głosu.

— Jakie wrażenie zrobiła na panu śmierć Marszałka Piłsudskiego?



— Ogromne. Dowiedziałem się o niej w Moskwie, dokąd przybyłem wówczas z Lavalem. Ceniłem wysoko Zmarłego, jako wielkiego człowieka i znakomitego socjalistę. Pierwsze słowa, jakie usłyszałem wtedy od Bucharina po przyjeździe do Moskwy, były wyrazem nieklamane go żalu spowodu tej wielkiej straty.

— Co pan myśli o współczesnej sztuce rosyjskiej?

— Typowa dla epoki kryzysowej: Żadnych objawień (sic!). Zwłaszcza wśród pisarzy sowieckich nie widzę ani jednego geniusza.

— A kobieta rosyjska? Wciąż jeszcze szerokobiodra „towarzyszka”?

— O, nie, — z ożywieniem zaprzecza Sadoul: — zmieniła się niezmiernie na korzyść, staje się coraz bardziej kochająca. Stroje i maquillage odzyskują dawne prawa. Widziałem na Kaukazie, skąd właśnie wracam, chłopki pudrujące się po pracy na roli; w moskiewskim „metro” konduktorki różują sobie wargi...

— Czy i to dzieje się na rozkaz zgóry?

Ale na to pytanie nie otrzymałam już odpowiedzi. Konduktorzy wołali: „wsiaść”. Zatrzasnęły się drzwiczki wagonu, i pociąg ruszył w świat, unosząc wdal, wraz z tłumem krakowskich studentów, francuskiego entuzjastę Sowietów

M. T. Koerner-Karbowska.

Josette

**SUKNIE
PŁASZCZE**

• WARSZAWA • FREDRY 2 • TEL. 699-96

Z ŻAŁOBNEJ KARTY



S. p. Juliusz Brick, b. obywatel m. Warszawy, b. handlowiec, ostatnio urzędnik sądowy, zamknął znużone niezmordowaną pracą całego swego żywota powieki d. 20 września r. b. w 68 roku życia.

Pochodząc ze starego niemieckiego rodu szlacheckiego, pokochał całym sercem Ojczyznę — Polskę. Jako wierny jej syn w duchu prawdziwie patriotycznym wychował swe dzieci.

Będąc cichym i skromnym w życiu odznaczał się miłością bratnią dla bliźnich, koleżeństwem, wielką uczynnością, nadzwyczajną dobrocią serca, która nie pozwalała Mu na odmowę spełnienia prośby ludzi, znajdujących się w potrzebie, co spowodowało Jego ruinę majątkową. Dowodem ogólnego uznania, wdzięczności i przyjaźni, jakimi cieszył się Zmarły, był bardzo liczny udział uczestników obrzędu pogrzebowego, oraz powódź żywego kwiecia złożonego na Jego trumnie.

S. p. Juliusz Brick pozostawił pograżonych w głębokim i szczerym żalu żonę Bertę ze Sztencłów, dwóch synów Gustawa i Alexego, sześć córek: Stefanję Robertową Piotrowską, Wandę Kazimierzową Glińską, Janinę Józefową Szymańską, Zofję Michałową Bilińską, niezamężne Eugenję i Jadwigę, siostrę Florentynę Klimplową, zięciów, synów, oraz wnuczęta.

Niech ta ziemia polska, którą tak umiłowalesz przytuli Cię do swego łona, a drzewiny, strzegące Twej mogiły, pieśnią szmeru swego listowia niechaj kołyszą Cię do snu nieprześnionego. Spij spokojnie godny Synu Ojczyzny. Pokój Ci wieczny.

Gruźlica płuc jest nieubłagana i corocznie, nie robiąc różnicy dla płci, wieku i stanu, pociąga bardzo wiele ofiar.

Przy zwalczaniu chorób płucnych, bronchitu, grypy, uporczywego, męczącego kaszlu i t. p., stosują pp. Lekarze „BALSAM TRIKOLAN AGE” (dawniejsza nazwa „Balsam Thiocolan Age”), który, ułatwiając wydzielanie się płwociny, usuwa kaszel, wzmacnia organizm i samopoczucie chorego. Sprzedają apteki.



S. p. Włodzimierz Wojtkiewicz, zmarł dn. 26 września r. b. Urodzony w 1885 r. w Warszawie, kształcił się w b. 3-em gimnazjum warszawskim, z którego został wydalony z kl. VII-ej za udział w strejku szkolnym, z pozbawieniem prawa wstąpienia do zakładów naukowych w obrębie całego państwa Rosyjskiego. Po odbyciu rocznej praktyki w fabryce Schlessers w Ozorkowie, wyjechał dla dalszych studiów do Reutlingen w Wirtembergii, gdzie ukończył wyższą szkołę techniczną. Po powrocie do kraju pracował na odpowiedzialnych stanowiskach w fabrykach przędzy w Pabjanicach i Łodzi. Po odzyskaniu niepodległości objął w Ministerjum Pracy i Opieki Społecznej stanowisko inspektora pracy III-go Okręgu w Łodzi, które piastował do 1933 roku, skąd przeniósł się na takież stanowisko do II-go Okręgu w Warszawie. Za zasługi położone na polu swej odpowiedzialnej pracy został w 1932 r. odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi.

Cześć Jego pamięci!



PIERWSZA LECZNICA
Kosmetyczna i Chorób Włosów
Dr. med. M. Biernackiej i Dyr. I. Kisielewskiej
Warszawa, Szopena 16.



WIELE JEST ŚRODKÓW PRZECIWKO **HEMOROIDOM**.
WYNIK KURACJI ŚWIADCZY O ZALETACH UŻYTEGO ŚRODKA.
„ZOPKI „VARICOL” GASECKIEGO
STOSUJE SIĘ PRZY **BÓLACH, KRWAWIENIU**
SWĘDZENIU, PIECZENIU I INNYCH OBJAWACH
HEMOROIDALNYCH. — PRZY ZEWNĘTRZNYCH GUZACH
HEMOROIDALNYCH STOSUJE SIĘ **MAŚĆ „VARICOL”**

„VARICOL” GASECKIEGO NIE ZAWIERA SZKODLIWYCH SKŁADNIKÓW

PRZYBORY PODRÓŻNE
GALANTERIA SKÓRZANA
J. KUCZMIEROWSKI
108 MARIJASKA 108

KOŁDRY watowe i puchowe

poleca **Bieliznę damską, pościelową i stołową,**
kompletne wyprawy ślubne i niemowlęce

PIERWSZY SPECJALNY MAGAZYN WYPRAW
J. PILACZYŃSKI i S-ka

Tel. 3814, 2138 **BYDGOSZCZ** ul. Gdańska 14
(Gmach Hotelu pod Orłem)

Fabryka kołder — Fabryka waty do kołder — Fabryka bielizny

OTYŁOŚĆ
osłabia serce

Serca otyłych, obłożone warstwą tłuszczu, pracują z wysiłkiem, wyczerpują się i wcześniej odmawiają posłuszeństwa. Otyłość powodowana jest złą przemianą materii, albo zaburzeniem czynności gruczołów dokrewnych.

Zioła Magistra Wolskiego „DEGROSA” zawierają jod organiczny, znajdujący się w morskiej roślinie Yahanga, który pobudza organizm do spalania nadmiernego tłuszczu. Stosuje się je przeciwko otyłości i nie wymagają one specjalnej diety.

Zioła ze znak. ochr. „DEGROSA”

do nabycia w aptekach i drogeriach (składach aptecznych).

Wytwórcia Magister E. Wolski, Warszawa, Złota 14, m. 1.

BIAŁE ZĘBY? MYDEŁKO DO ZĘBOW PASTA NA ELIKSIERZE CHERYS



PLITY ZAGRANICZNE.

Zanim nasze wytwórnie nagrają melodie z filmu „Folies Bergères”, cieszymy się świetnymi nagraniami zagranicznymi, których mamy wiele do wyboru. „Romance de la pluie”, piosenka Maurice Chevalier jest tak atrakcyjna, że prawdopodobnie stanie się tak popularna, jak „Trzy świnki” — jest ona bardzo zabawna i dobra do tańca.

Na Utraphone śpiewa tę piosenkę wraz z innymi z tego filmu John Ellswort, na Pathé zaś Jo Bouillon. W jego interpretacji lepszy jest „Singing a happy song” pełen werwy i humoru. Columbia daje te melodie w wykonaniu świetnej orkiestry Savoy Hotel.

Bardzo zabawną historyjkę opowiada nam foxtrott „Tout va très bien” o jakiejś nieszczęśliwej markizie, która od wszystkich pokolei domowników dowiaduje się o różnych nieszczęściach, jakie ją spotkały. W tym samym stylu lekkiego francuskiego humoru utrzymany jest slow-fox „Je crois bien, que c'est l'amour”, oraz „Un amour comme le nôtre” i „C'était écrit” w nagraniu zespołu Ray Ventura (Pathé. P. A. 623, 624).

Orkiestra Pawła Whitemana nagrywa fox-trotta „The night is young” i walca angielskiego „When I grow too old to dream”. Jak zwykle wykonanie mistrzowskie, pełne finezji.

Slicznym utworem pełnym świeżości kwiatów polnych jest „Easter parade” (Wielkanocna parada), którą śpiewa z nieporównanym wdziękiem Enric Madriguera, na czele swej orkiestry. Po drugiej stronie płyty równie dobre „You and the night and the music”.

Na zakończenie świetne foxtroty, nagrane przez Leo Reismana, który jest mistrzem rytmu; akcentując bardzo dyskretnie, ale nakazująco, osiąga specjalną barwę. Są to „What is thing called love” (Gramophone k. 7508) i „According to the moonlight” (Brunswick 500—553).

H.



Dyrektor Markiewicz,
energiczny organizator koncertów
w Konserwatorium

List z Helu

Nasz praszczur Lech chyba w przystępie lekkiego zamroczenia myśli, spowodowanego długą wędrówką, wybrał sobie właśnie te ziemie, klimat, morze, sąsiadów niezupełnie po myśli potomności! — Gdyby się był tak jeszcze trochę pomęczył i dowlókl naprzykład nad Adriatyk, jakbyśmy uwielbiali dopiero takie morze!....

Ale trudno, w myśl piosenki Krukowskiego: „jak się nie ma co się lubi, to się lubi co się ma”!

I na Helu ruch. Coprawda wysilają się ludzie, by zeszpecić naturę: w lesie pełno papierków, skorupki od jaj i parerek do siebie przytulonych, na które „władze” patrzą z troskliwą pobłażliwością. Ale zato niech tylko jakaś higienistka, której ród męski obrzydł, sama, bez obłonek wszelkich zechce dla wygrzania nerek poleżeć na ustronnej plaży, zaraz staje przed nią policjant i groźnym tonem gromi nieszczęsną, zapowiadając oszałamiające kary, jak 50 zł.

Panienek na Helu jest mnóstwo.

Wytańcowuje to wieczorem w dwóch wytwornych dancingach, w czym kto może: pidżamy (choć straciły prawo obywatelstwa na całym świecie, na polskim wybrzeżu święcą w dalszym ciągu swe tryumfy), jakieś plażowe kombinacje, — panowie w rozchełstanych koszulach i spodenkach, które mają być białe. — Ogólnie dostrzec można wśród publiczności wielką oszczędność mydła — i coś dziwnego? rzucono nam przecież hasło: „Oszczędzajcie”! Więc pocóż mydło, kiedy jest tyle wody w morzu!!

Wraz z poniechaniem szat zwierzęcych cały balast kłopotów i udręk codziennego życia gdzieś ucieka. Ludzie starsi bawią się jak dzieci: figle, psoty, koziołki, oto treść życia na Helu. Nie myśli się o niczym, pływając się w rozkoszy promieni słońca, tak niestety skąpego w tym roku.

W promieniach tego drogiego a tak nielaskawego słońca ogarnia luba gnuśność, coś na pograniczu nirwany i lekkiego ogłupienia. Większość plażowników zapomina nawet, że ostatecznie możnaby się wykapać, — tłumy na brzegu, a tylko nieliczna garstka bohaterów, w czym przeważa pleć słabsza, igra z bałwanami, zapewne poto, aby nie wyjść z wprawy.

Wszystkie przepowiednie meteorologi-



czne zwiastują, że jesień będzie na polskim wybrzeżu piękna i słoneczna, więc zamiast: „jedź na Kretę” — „jedź na polskie wybrzeże”.

Marja de Lavaux.

KAISER-BORAX

Wyrób polski. uniwersalny środek udelikatniający cerę.

Świat wielkiej Warszawy

Kościół parafjalny w Czerniakowie, o którym pisaliśmy w poprzednim numerze, wybudowany został przez architekta Camerini'ego. Książę Stanisław Lubomirski, syn Jerzego Lubomirskiego, hetmana polnego, w roku 1691, osadził w nim w r. 1693 Bernardynów.

Do kościoła tego sprowadził Lubomirski z Włoch obraz Matki Boskiej Bolesnej i wizerunki pokutników: św. Antoniego Padewskiego i św. Franciszka Serafickiego oraz relikwie św. Bonifacego.

W roku 1698 biskup liwski, ks. Mikołaj Popławski, kościół poświęcił i zaprowadził wyjednane przez fundatora od stolicy Apostolskiej odpusty: na 14 maja, dzień św. Bonifacego; na św. Antoniego Padewskiego 13 czerwca; na Matkę Boską Anielską 2 sierpnia, na św. Franciszka Serafickiego 4 października i Matkę Boską Niepokalanego Poczęcia 8 grudnia.

Wnętrze kościoła utrzymane jest w stylu barokowym i zachowane wspaniale. Ze wszystkich stron zwieszają się tu wieńce, składające się z misternie odrobionych liści i owoców, wśród których w obłokach bujają aniołki. Sztukaterie modelowane są ręcznie i stanowią dobry zabytek ówczesnej epoki.

Najciekawszy jest w kościele tym wielki ołtarz, cały z drzewa, jakby z jednej bryły wyrobiony. Utrzymany jest w stylu barokowym.

Z odwrotnej strony wielkiego ołtarza znajduje się drugi ołtarz, nad którym mieści się wspaniały obraz Zbawiciela, pędzla Guido Reni'ego, z roku 1575.

W ołtarzu bocznym, poświęconym Najświętszej Marii Pannie, w nawie lewej, znajduje się cenny tryptyk flamandzkiej szkoły, malowany przez Quentina

Metsysa. Tryptyk ten znajdował się w polowym ołtarzyku króla Jana Sobieskiego i został przez tegoż ofiarowany do kościoła czerniakowskiego. Ozdobę tego ołtarza stanowią 2 srebrne relikwiarze w formie trójkątów, zawierające szczątki Świętych Pańskich.

W bocznym ołtarzu z prawej strony kościoła znajduje się obraz św. Franciszka Serafickiego, pędzla Jakóba Tintoretto. W zakrystii przechowuje się wiele cennych kap i ornatów ze starych materii, przetykanych złotem i srebrem. Najwspanialszy jest ornat, ofiarowany przez elektora Saskiego, króla Augusta III z litych pasów słuckich.

Chodząc tuż koło weterana-organisty, który twierdził, że „chodzi tu wszędzie, jak po swoim”, dowiedziałem się, że organy, które do dziś dnia używane są w kościele, ufundowane zostały jeszcze w roku 1903 i są roboty Ignacego Karczewskiego, ówczesnego mistrza swego zawodu i kosztowały 1200 rubli.

Do roku 1904 kościół św. Bonifacego należał do Wilanowa, dopiero w 1904 utworzono tu za staraniem ks. Marcina Kominka osobną parafję.

Obok kościoła, w roku 1839 została ufundowana przez hr. Ossolińskiego osobna kaplica z obrazem św. Bonifacego, w której w czasie odpustów odprawiane są modły, gdyż kościół sam nie jest w stanie pomieścić wielkich mas przyjezdnych pobożnych.

W czasie wojny kościół w Czerniakowie ucierpiał bardzo: moskale zabrali wszystkie dzwony, zwróciwszy tylko jeden niewielkich rozmiarów, a Niemcy zdjęli z kościoła dach miedziany.

ORYGINALNE PROSZKI
MIGRENO-NERVOSIN R.M.W. N°1599
ZN.FABR. KOGUTEK
SA ŚRODKIEM KOJĄCYM BÓLE
ZASTOSOWANIE:
BÓLE GŁOWY, ZĘBÓW, MIGRENA, NEURALGIA, GRYPY
I PRZEBIENIA, BÓLE STAWOWE, KOSTNE, ARTRETYCZNE I T.P.
ŻĄDANIE W APTEKACH PROSZKÓW ZE ZN.FABR. „KOGUTEK”
W ORYGINALNEM OPAKOWANIU PO 5 PROSZKÓW.
UŻYĆ: W RAZIE POTRZEBY 1-2 PROSZKI DZIENNIE

Po wojnie, jeden z nabożnych i zacnych obywateli Czerniakowa, dzisiaj już emeryt, Ludwik Kurski, ufundował dodatkową ambonę drewnianą nazwaną trz kościoła, z której wygłaszane są nauki i kazania w czasie odpustów.

Kościół otoczony jest dokoła lipami i murem, nawprost zaś wejścia głównego postawiono w XVIII wieku wieżyczkę ceglana, mającą u góry kształt kapliczki, w której znajduje się statua św. Antoniego Padewskiego. Wieżyczka ta, utrzymana w stylu gotyckim, nie pasuje zupełnie do wspaniałego baroku świątyni.

Dodać tu należy że tak fundator kościoła, Lubomirski, jak i fundator kaplicy, hr. Ossoliński, pochowani są w podziemiach kościoła. Trumny ich widoczne są przez boczne okna piwnic kościelnych.

Wracając do kancelarii kościelnej po przez korytarze, wiedziony przez organistę-weterana, p. Srebnickiego, zauważyłem na ścianach obrazy poczerńiałe i stare, o których mój cicerone powiedział mi, że „musiały chyba nastać razem z kościołem”. Są to: Taniec śmierci, św. Jan Kapistran, patron króla Sobieskiego, św. Rafael, św. Jakób i św. Cyprjan z Opatówka.

St.



Starożytny kościół św. Bonifacego w Czerniakowie.



Typowe podwórko na ul. Czerniakowskiej.

„ŚWIAT” Redakcja i Administracja: Warszawa, Szpitalna 12. Tel. Red. 210-87. Tel. Adm. 504-00.
WARUNKI PRENUMERATY (łącznie z premjum książkowym). W Warszawie: Odbiór w Admin. mies. Zł. 5.— kwart. Zł. 13.50. Z odnośnieniem do domu mies. Zł. 5.50, kwart. Zł. 15.—. Na prowincji mies. Zł. 6.— kwart. Zł. 16.20. Zagranicą mies. Zł. 8.— kwart. Zł. 21.60.
K O N T O P. K. O. 3.755